Nr. 5 WYD. „STER" Warszawa, Królewska Nr. 29a. CENA 30 GR. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. ROK I

W. P. Biblioteka Jagiell Kra

STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA Królewska 29A, tel. 301-62

KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz sobót i niedziel — Redakcji 11.—13. Administracji 17—19.

Rękopisów nie zwraca się.

Numer zamyka się w środę

Także deklaracja...

Przed niejakim czasem, p. Goldwin Smith, o ile mi się zdaje, podniósł zarzut przeciwko Żydom, jakoby im zbywać miało na zmyśle obywatelskim, i poważną wywołał o to polemikę. Pewne jest wszakże, że lud ten, jak go wśród nas znamy, ma wydatne cnoty, wad zaś odpowiednich dotychczas odkryć w nim nie zdołałem. Jedno tylko możnaby mu wytknąć, ale i to nie może służyć ku ich naganie: nie mieszają się z Anglikami w takiej mierze, by wszelka różnica między nimi znikła. Żyd pozostaje Żydem i nosi piętno poszczególne, które jednak żadną miarą nie cechuje niższej umysłowości lub moralności. Jeżeli istniał rzeczywiście wpływ, co ściśle spajał węzły lud ten łączące, i wpływ wyrył się w duszy Żydów, czyż można go za co innego uważać, niż za wyraźny, choć milczący protest przeciw okrutnemu obchodzeniu się z nimi w dawnych czasach?.

GLADSTONE
Premier Wielkiej Brytanii
(luty, 1887.) w „Nineteenth Century"

7 marca 1937 — WARSZAWA — 24 Adar 5697

Plon Zjazdu

Nie załamały się wierne, wieloletnią walką i służbą społeczną doświadczone szeregi Organizacji Syjonistycznej w Polsce. Głęboki wstrząs, wywołany tragicznymi przeżyciami awangardy narodu żydowskiego w Palestynie w roku ubiegłym, nie zdołał zachwiać wiary mas syjonistycznych w najwyższy ideał narodu żydowskiego, w ideał niepodległego bytu państwowego, — ani osłabić ich gotowości do ofiar, wysiłków i poświęceń dla przyśpieszenia jego urzeczywistnienia. Niezłomne przeświadczenie, że nie masz dla żadnego narodu innej formy trwałego i normalnego bytowania, jak tylko własne państwo, — przeświadczenie, tkwiące u źródła syjonistycznej ideologii, górowało nad obradami XII Zjazdu Krajowego, dominowało w referatach i w ogólnej dyskusji, natchnęło deklarację polityczną i rezolucje szczegółowe. Na specjalne wyróżnienie zasługuje zachowanie się młodzieży chalucowej, licznie na Zjeździe reprezentowanej, której idealizm i szlachetny a świadomy pęd do pionierskiego czynu opromieniały nadzieją starszyznę Organizacji, starych weteranów ruchu, dodając im otuchy i mocy wytrwania.

Nie załamały się wierne szeregi. Fala nienawiści, która zalewa społeczeństwo żydowskie w Polsce ,nie zdołała zachwiać podstawowego stosunku obywatelskiego żydostwa Polskiego, do Państwa Polskiego, ani osłabić poczucia ich współodpowiedzialności za jego losy, ale nie złamała także ich walki o równe prawo do korzystania ze wszystkich świadczeń i z pełnej miary szczęścia, jakie Państwo jest w stanie dać swoim obywatelom. Nie ma bowiem konfliktu między Żydami polskimi a Państwem Polskim lub Narodem Polskim, lecz tylko z pewnymi odłamami politycznymi, dla których antysemityzm jest środkiem do zdobycia lub utrzymania władzy, — to stwierdzenie, w Deklaracji Zjazdu zawarte, obok oświadczenia o gotowości do dalszego udziału w dziele budowy i obrony silnej Polski, opierającej swój byt na ludowładztwie, sprawiedliwości socjalnej i równości wszystkich obywateli, — oto ściśle, jasne i szczere sformułowanie naszego stosunku do Rzeczypospolitej. Atoli z tego stosunku wynika prawo, więcej — obowiązek zajęcia stanowiska wobec najistotniejszych zagadnień życia państwowego. Odrzucenie stanowcze zarówno komunizmu, jak i faszyzmu; wyraźne zadeklarowanie się za ustrojem demokratycznym; opozycyjny stosunek do regime'u „sanacyjnego" i do parlamentu, stanowiącego jego bazę społeczną; należyta ocena stanowiska płk. A. Koca w kwestii żydowskiej; wreszcie niedwuznaczne opowiedzenie się za współpracą wszystkich szczerze demokratycznych żywiołów w Państwie — określają dokładnie miejsce Organizacji Syjonistycznej w Polsce (nie obejmującej, jak wiadomo Małopolski) na mapie wewnętrzno - politycznych stosunków w kraju.

Nie załamały się wierne szeregi. Rzadko spotykana JEDNOMYŚLNOŚĆ była plonem dwudniowych intensywnych prac przeszło 400 delegatów z 300 miast. Jednomyślność w sprawach polityki palestyńskiej; jednomyślność w sprawie przynależności do demokratyczno - postępowego Zjednoczenia Światowego Ogólnych Syjonistów; jednomyślność w sprawie stosunku do Państwa Polskiego, do Rządu, Sejmu i Obozu; jednomyślność w sprawie tworzenia frontu demokratycznego; jednomyślność przy wyborze nowego Centralnego Komitetu — oto najwymowniejsza odpowiedź dywersyjnym wypadom prasowym przed Zjazdem i po nim.

Zjazd pozostał wierny sztandarowi demokratycznego, ludowego syjonizmu.

DR. M. KLEINBAUM.

DEKLARACJA POLITYCZNA

Organizacji Syjonistycznej w Polsce

UCHWALONA JEDNOMYŚLNIE PRZEZ XII ZJAZD KRAJOWY W WARSZAWIE, 28.II.—1.III.1937 R.

A. PALESTYNA

XII Zjazd syjonistów Polski, odbyty w okresie największej niedoli narodu żydowskiego, gdy ołowiane chmury zawisły nad wielkimi skupieniami żydowskimi w Diasporze, a wielkie niebezpieczeństwa zagrażają przyszłości Żydowskiej Siedziby Narodowej, gdy po długich miesiącach okrutnego terroru i przelewu krwi, przed nowym sądem Komisji Królewskiej ważą się losy praw żydowskich do Palestyny — oświadcza uroczyście:

Silniej, niż kiedykolwiek przed tym obecna sytuacja narodu żydowskiego potwierdza syjonistyczną prawdę, że nie ma innego rozwiązania kwestii żydowskiej, jak tylko stworzenie samodzielnej społeczności żydowskiej w historycznej ojczyźnie Żydów — w Palestynie. Żadne trudności i żadne ofiary nie zdołają złamać, ugiąć ani odwieść zdecydowanej woli mas żydowskich od drogi, prowadzącej do Syjonu, którą wyznacza zarówno ich historyczny rozwój narodowy, jak i nakaz tragicznej rzeczywistości żydowskiej. Wszędzie stanowiący mniejszość, Naród Żydowski, pozbawiony możności rozstrzygania o własnym losie i wplątany w fatalne konflikty ze światem zewnętrznym przez procesy ekonomiczne i przez grę zewnętrznych sił politycznych, — łączy wszystkie swoje nadzieje wyzwolenia i odrodzenia z dziełem odbudowy Palestyny. Dzieło to dało narodowi żydowskiemu pierwszy raz od wielu stuleci możność rozwoju dotąd krępowanych i sztucznie tłumionych sił twórczych. Ofiarą krwi i mienia naród żydowski utwierdził swe prawo do Palestyny, a palestyńska społeczność żydowska, będąca najpiękniejszą emanacją narodu, swą heroiczną walką, bohaterską samoobroną, i wspaniałym samoopanowaniem — prawa te umocniła i na nowo uświęciła.

Zjazd stwierdza z uznaniem i z wdzięcznością, że Egzekutywa Agencji Żydowskiej — której skład jest wyrazem, podyktowanego poczuciem odpowiedzialności, dążenia do konsolidacji wszystkich sił twórczych w obliczu historycznych zadań syjonizmu — wypełniła z powodzeniem swoje zadanie w okresie ostatnich, nad wyraz ciężkich wydarzeń, przewodząc bohaterskiemu zmaganiu się palestyńskiej społeczności żydowskiej w kierunku utrzymania dawnych i zdobywania nowych pozycji. Z takąż samą godnością i odpowiedzialnością Egzekutywa broniła naszych spraw i dążeń wobec władzy mandatowej.

Naród żydowski w Polsce oświadcza uroczyście władzy mandatowej oraz opinii publicznej Wielkiej Brytanii, że wszelka próba rozwiązania trudności palestyńskich kosztem fundamentalnych praw żydowskich do tego kraju jego historycznego przeznaczenia napotka na opór tak bardzo zdecydowany i wielki, na jaki tylko może się zdobyć naród, walczący o swą najsłuszniejszą, najstarszą i ostatnią nadzieję.

Prawo swobodnej emigracji do Palestyny, regulowanej wyłącznie pojemnością kraju, prawo niekrępowanego nabywania odłogiem leżącej ziemi pod uprawę, prawo do bezpieczeństwa życia i rozwoju — stanowią kardynalne części składowe owego historycznego przyrzeczenia, danego narodowi żydowskiemu przez Wielką Brytanię w Deklaracji Balfoura, a usankcjonowanego i zagwarantowanego przez cały cywilizowany świat w postaci Mandatu Palestyńskiego. Prawa te żadnej rewizji podlegać nie mogą!

W obronie tych praw i w świadomości historycznej odpowiedzialności, jesteśmy gotowi my, syjoniści Polski, na każde wezwanie naczelnych władz syjonistycznych skupić wszystkie swe siły w imię jak największego wzmocnienia naszego frontu i skupienia wszystkich części ruchu syjonistycznego. W dążeniu tym będzie nas wspierać wspólna nam wszystkim wiara w ostateczne zwycięstwo wspaniałej wizji Teodora Herzla — powrotu narodu żydowskiego do Syjonu.

B. POLSKA

Dzieje doby współczesnej stoją wszędzie pod znakiem dramatycznej walki trzech systemów myślenia oraz rządzenia narodami i państwami: komunizmu, faszyzmu i demokracji. Naród żydowski, dążący do wolnego życia w krajach swego rozproszenia i do odbudowy własnej państwowości w historycznej ojczyźnie, nie może obojętnie się odnosić do tej walki, której wynik rozstrzygnie także o jego losie. Naród żydowski odrzucić musi stanowczo system komunistycznej dyktatury, która oznacza w praktyce zagładę żydostwa. Z całą bezwzględnością naród żydowski odrzucić też musi faszyzm we wszelkich jego postaciach i przejawach: państwo totalne utożsamia państwo z rządzącą grupą panującego narodu, a tym samym pozbawia mniejszość żydowską warunków wolnego a narodowo odrębnego życia; szowinistyczny egoizm gospodarczy systemów faszystowskich rujnuje ekonomicznie masy żydowskie, a propaganda antysemityzmu staje się najczęściej jedynym środkiem do utrzymania władzy faszyzmu nad społeczeństwem. Jedynie w warunkach rzeczywistej demokracji, której elementarnymi założeniami są równość, wolność i sprawiedliwość, możliwy jest swobodny rozwój skupień żydowskich w świecie. To też walka o demokrację jest organiczną częścią walki o byt narodu żydowskiego.

Z tych ogólnych przesłanek wychodząc, XII Zjazd potwierdza opozycyjny stosunek Organizacji Syjonistycznej w Polsce do t. zw. „sanacyjnego" regime'u. Regime ten nie zrealizował idei przewrotu majowego w ogóle, w szczególności zaś wobec ludności żydowskiej. Hasło walki z antysemityzmem, proklamowane przez pierwszego Premiera rządów Marszałka Piłsudskiego, zastąpione zostało przez hasło i praktykę politycznej, gospodarczej i kulturalnej eksterminacji ludności żydowskiej. W świetle tej ewolucji ukazuje się w całej zgrozie spustoszenie, dokonane w społeczeństwie żydowskim przez politykę żydowskich sojuszników regime'u. Mimo to resztki tej polityki nie zostały jeszcze usunięte z powierzchni życia żydowskiego. Parlament obecny, powołany na zasadzie nowej ordynacji, reprezentuje jedynie poszczególne części składowe obozu „sanacyjnego", toteż Zjazd aprobuje stanowisko C. K. o nie uczestniczeniu w parlamencie z września 1935 r. i oświadcza, że Organizacja Syjonistyczna w Polsce nie jest w obecnych ciałach ustawodawczych przez nikogo reprezentowana.

Wobec prób naruszania nietylko w praktyce, ale i formalnie obywatelskiej równości ludności żydowskiej, Zjazd powtarza raz jeszcze, że ogół żydowski w Polsce nigdy nie zrezygnuje z praw, zagwarantowanych mu drogą konstytucyjną i traktatów międzynarodowych, ani z pozycji uznanej, równouprawnionej mniejszości narodowej. Zjazd deklaruje uroczyście, że dramatyczne przejawy kwestii żydowskiej w Polsce nie świadczą ani o konflikcie z Państwem Polskim, ani z Narodem Polskim, lecz tylko z niektórymi polskimi odłamami politycznymi, dążącymi do utrzymania lub zdobycia władzy w Państwie przy pomocy sztucznie wywołanych tarć narodowościowych, nie wahając się nawet przed naruszeniem wewnętrznej spoistości Rzeczypospolitej. Tarcia te nie są jednak w stanie naruszyć głębokiego przywiązania obywatelskiego społeczeństwa żydowskiego do Państwa i gotowości do dalszego udziału w dziele budowy i obrony silnej Polski, opierającej swój byt na ludowładztwie, sprawiedliwości społecznej i równości wszystkich jej obywateli.

Uznając potrzebę emigracji z Polski m. in. także i elementów narodowości żydowskiej, Zjazd protestuje jednakowoż przeciw projektom masowego wysiedlania Żydów z Polski, jako rozwiązanie kwestii żydowskiej, przeciw sztucznemu wypieraniu Żydów z życia gospodarczego, przeciw tworzeniu warunków, któreby ich zmuszały do masowej emigracji. Zjazd domaga się ścisłego przestrzegania obiektywizmu przez władze państwowe wobec gospodarczego współzawodnictwa między obywatelami różnej narodowości w niektórych zawodach.

Zjazd upatruje rozwiązanie żydowsko - polskiego zagadnienia kulturalnego jedynie drogą przyznania mniejszości żydowskiej autonomii narodowo - kulturalnej. Próby zaś tworzenia ghetta żydowskiego w Polsce napotkają na stanowcze przeciwdziałanie wszystkimi legalnymi środkami, którymi społeczeństwo żydowskie rozporządza.

Zjazd poleca przyszłemu Centralnemu Komitetowi zreaktywowanie syjonistycznej polityki krajowej przez stworzenie jaknajszerszego frontu prawdziwej demokracji żydowskiej, któraby współdziałała z innymi szczerze demokratycznymi żywiołami w Państwie.

Zjazd oświadcza w końcu, że stawiając sobie za cel osiągnięcie pełnego równouprawnienia obywatelskiego i narodowego w krajach rozproszenia, upatruje przy tym syjonizm, jako jedyną formę trwałego i wolnego bytowania narodu — niezależną państwowość żydowską w Palestynie. Równouprawnienie skupień żydowskich w Diasporze i odbudowana Ojczyzna Narodu Żydowskiego oto ideał, wokół którego skupiać się winny masy żydowskie aż do pełnego i ostatecznego zwycięstwa.

Apolinary Hartglas

Wilk münhausenowski

Artykuł poniższy nawiązuje do dwóch odczytów pułk. Miedzińskiego w Klubie Dyskusyjnym. Mimo pewnego opóźnienia artykuł nic na aktualności nie stracił.

REDAKCJA

Właściwie, rzecz się wyjaśnia. Jeżeli byli jeszcze ludzie którzy mieli wątpliwości, to powinni się ich już wreszcie pozbyć.

Od razu dziwne wydało się w swoim czasie oświadczenie p. Premiera: „walka gospodarcza — owszem". Rozmaite późniejsze komentarze nie z autentycznego, a więcej z mincbergowskiego źródła, rozmaite nawet własne następne, mniej ostre oświadczenia — nie potrafiły zatrzeć pierwszego wrażenia. Ale wystąpienia — nie Dudzińskich i Budzyńskich: ci nie są miarodajni, — lecz Miedzińskich, Prystorowych i t. p. wywoływały co raz bardziej wrażenie, że pierwotne oświadczenie p. Premiera nie było tylko źle użytym słowem w ferworze debaty, że — jeżeli nawet p. Premier *osobiście* nie zupełnie stoi na stanowisku walki, — to w najlepszym razie był to zwrot taktyczny, ażeby zaszachować szczerych przyjaciół hasła walki gospodarczej w rumowisku sanacyjnym. Ponadto kilku prokuratorów — i to tych zdolniejszych — w rozmaitych dzielnicach Polski, oskarżając ekscedentów z pośród zdobywców straganów żydowskich, usilnie podkreślało, że Rząd stoi na stanowisku walki gospodarczej z Żydami, byle bez ekscesów.

Już wtedy jednak wydawało się dziwne jedno: przecież ludzie występujący obecnie z hasłem walki gospodarczej, należą wszyscy do obozu majowego, do tych, co się zaklinali wiecznie i zawsze imieniem Marszałka, co uchodzili i sami się podawali tylko za bezkrytycznych wykonawców Jego zaleceń.

A przecież ci sami ludzie nie mogą zaprzeczyć temu, iż w d. 19 lipca 1926 r. ówczesny premier, prof. Bartel, w swoim exposé zapowiedział walkę z antysemityzmem gospodarczym. I chyba wiedzą ci sami panowie, że ten zwrot był *autoryzowany przez samego Marszałka?* Jeżeli nie wiedzą, lub udają, że nie wiedzą, to sądzę, że p. prof. Bartel, p. min. Kościałkowski, a możliwe nawet i b. premier dr. Świtalski mogliby to im uprzytomnić i potwierdzić. Przynajmniej był moment, gdy zapewniali, że tak jest.

A jeżeli tak jest — to jakżeż to się teraz głosi walkę gospodarczą z Żydami i ich masową emigracją? Co się stało z zapewnieniami, że się wykonywa tylko zalecenia ś. p. Marszałka?

I jeszcze mówił wówczas p. premier Bartel: „Rząd zmierzać będzie do łagodzenia tarć na gruncie narodowościowym i wyznaniowym i do wytworzenia harmonijnych warunków współżycia ludności różnych narodowości i kultur... Rząd przeprowadzi we właściwej drodze zniesienie pozostałości ograniczeń prawnych charakteru narodowościowego czy wyznaniowego z czasów zaborczych.... Lojalne stosowanie postanowień konstytucji oraz zawartych przez Państwo traktatów.... oto szereg zadań które Rząd pragnie podjąć w interesie mniejszości narodowych". Nie wiem, czy i te ustępy były autoryzowane przez Marszałka, ale przypuszczam, że w d. 19 lipca 1926 r. prof. Bartel nie użyłby ich bez wiedzy i uprzedniej aprobaty Wodza Przewrotu Majowego. I tym nastawieniem Marszałka chyba należy sobie tłumaczyć nie tylko wspólne listy wyborcze, na których ks. Radziwiłł, czy pułk. Sławek kroczyli obok Mincberga, czy b. p. Kirszbrauna, ale i słowa art. 1. obecnej Konstytucji, że „Państwo Polskie jest wspólnem dobrem wszystkich obywateli", i p. 2 art. 7, że „Ani pochodzenie, ani wyznanie, ani płeć, ani narodowość nie mogą być powodem ograniczenia... uprawnień" do wpływania na sprawy publiczne, jak również treść art. 9 obecnej Konstytucji, że „Państwo dąży do zespolenia wszystkich obywateli w harmonijnym współdziałaniu na rzecz dobra powszechnego."

Kto więc stoi wiernie na stanowisku zaleceń Marszałka, kto nie uważa, że dawne zobowiązania i zapewnienia przestały obligować,—słowem, kto poczuwa się do moralnej przynajmniej odpowiedzialności za swoje słowa, a czasami i za zdobyte tymi słowami korzyści społeczne, ten powinien się przeciwstawić szerzeniu fali nienawiści do żydowskiej narodowości, czy wyznania, — ten nie może przestać uważać, że Państwo jest pojęciem szerszym od narodowości — ten nie powinien tolerować ani walki gospodarczej, ani tym bardziej walki fizycznej przeciwko Żydom, faktycznego ograniczenia ich w prawach obywatelskich i w prawie do pracy, dyskryminowania ich i spychania do rzędu pariasów. Caeteris paribus dotyczy to i innych mniejszości narodowych, ale ja tu specjalnie poruszam problem mniejszości żydowskiej.

A tymczasem ,cóż widzimy w istocie? Przede wszystkim p. min. Beck wypowiada jednostronnie klauzulę mniejszościową Traktatu Wersalskiego. Teraz staje jeden z najbliższej gwardii ś. p. Marszałka pułk. Miedziński w Klubie Dyskusyjnym uczestników walk o niepodległość i w swoim referacie dowodzi, że państwo winno być narodowe, a mniejszości narodowe mogą być jedynie tolerowane. Że tak można było tylko rozumieć to przemówienie — dowodem jubel całej prasy radykalno - endeckiej.

Czy te posunięcia i przemówienia czołowego przedstawiciela obozu majowego

(dokończenie na str. 2.)

WYDARZENIA I ODGŁOSY

Istotnie — niedobrze...

W związku z odbytym przed kilkoma dniami XII Zjazdem Organizacji Syjonistycznej w Polsce, b. poseł **Hartglas** udzielił wywiadu prasowego dziennikarzowi żydowskiemu, oświadczając m. i.:

„Musimy powiedzieć wyraźnie, że orientujemy się na ugrupowania demokratyczno-postępowe, t. zn. na P .P .S. i radykalizujące się demokratyczne włościaństwo. O ile były pod tym względem wątpliwości, to „żydowski" ustęp deklaracji ideowej z uprzednim komentarzem pułk. Miedzińskiego chyba je rozwiał. Musimy więc się zadeklarować."

Zgleichschaltowany „Kurier Poranny" cytuje powyższe słowa żydowskiego polityka i zaopatruje je uwagami pod melancholijnym nagłówkiem **„Niedobrze"**. Posłuchajmy więc żalów nowo-kreowanych narodowców.

„Zdumiewające są te słowa w ustach syjonisty. Żydzi wciąż jeszcze usiłują stanąć na stanowisku nie istnienia kwestii żydowskiej w Polsce. Nie rozumieją, że stanowisko to 1) nie odpowiada rzeczywistości, 2) jest sprzeczne z interesem społeczeństwa polskiego, 3) jest sprzeczne z interesem społeczeństwa żydowskiego. Wzruszamy ramionami na ślepy opór Żydów, lekkomyślnie odrzucających jedyną koncepcję rozwiązania nabrzmiałej bólem kwestii żydowskiej, której wagi nie zmniejszy zaślepienie polityków, nie chcących widzieć prawdy."

A więc „Kurier Poranny" konkluduje, że jest **niedobrze,** a my — zgodnie powtarzamy za nim: istotnie **niedobrze. Niedobrze** i to bardzo **niedobrze,** że niektóre organy opinii polskiej, takie zwłaszcza, co to najgorliwiej i najbardziej ochoczo zabierają się do rozwiązywania sprawy żydowskiej, nie mają o niej najbardziej elementarnego pojęcia i nie znają, czy też nie rozumieją istotnego stanowiska społeczeństwa żydowskiego.

Któż to bowiem powiedział „Kurierowi Porannemu", że Żydzi, a w szczególności syjoniści, rzekomo negują „istnienie kwestii żydowskiej" w Polsce" i nie chcą jej rozwiązania? Wręcz przeciwnie, podłożem faktycznym syjonizmu, jak zresztą wszystkich bez żadnego wyjątku kierunków żydowskich, jest nieustanne wskazywanie na istnienie tej kwestii, na niemożliwość utrzymania dotychczasowej katastrofalnej anomalii położenia ludności żydowskiej, na palącą konieczność przeprowadzenia radykalnych zmian. Ta właśnie konieczność była i jest głównym uzasadnieniem polityki żydowskiej w Polsce od jej Odrodzenia aż po dzień dzisiejszy. A nie kto inny, jak ci, którzy polityką tą kierowali, podkreślali w każdym niemal wystąpieniu, że pozostawienie sprawy żydowskiej bez rozwiązania jest sprzeczne zarówno z interesem społeczeństwa polskiego, jak i żydowskiego.

Jak jednak kwestię tę rozwiązać? My uważamy, że **jedynym** sposobem — równoczesnego realizowania celów palestyńskiel. syjonizmu oraz zapewnienia mniejszości żydowskiej warunków kultywowania odrębności narodowo - kulturalnej — jest **pełne i faktyczne równouprawnienie polityczno-obywatelskie gospodarcze i socjalne ludności żydowskiej.** Gdy ono zaistnieje, wówczas zniknie anomalia jednostronnej struktury socjalno-gospodarczej Żydów. Gdy przed Żydami usunie się sztuczne bariery, tamujące dostęp do większości zawodów i stanowisk, gdy Żydów będzie się traktować, tak jak ogół ludności — wówczas ulegnie załagodzeniu kwestia żydowska.

Droga równouprawnienia — jest dla nas **jedyną** drogą. „Kurier Poranny" wspomniał o jakiejś **jedynej koncepcji**, ale nie wyjawił nam, co ma na myśli. Czy jego jedyna droga miałaby się pokrywać z naszą drogą?

Wątpimy. Wszak „Kur. Por." stoi entuzjastycznie za deklaracją płk. Koca.

Gen. Górecki wyjaśnia

W związku z akcją organizacyjną, tworzonego przez płk. Koca „Obozu Zjednoczenia Narodowego" odbyło się w Warszawie dnia 28. lutego zebranie Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny, na którym generał Górecki oświadczył m. i.:

„Musimy się zdobyć na samodzielność gospodarczą. Nie zniesie tego żaden naród, aby jego handel i przemysł, finanse i cały obrót towarowy stanowiły monopol jednej tylko grupy ludności. Rozważni przedstawiciele ludności żydowskiej zdają sobie sprawę, że naród polski chce i musi mieć współudział w tych funkcjach gospodarczych, że Polacy chcą właśnie tylko równouprawnienia dla siebie i mieć te same prawa, co mniejszość żydowska".

Otóż gen. Górecki sprecyzował wyraźniej to właśnie, czego nie skonkretyzował cytowany wyżej „Kurier Poranny": dążenie do wyparcia Żydów z zajmowanych przez nich dziedzin gospodarczych, celem stworzenia w nich miejsca dla ludności polskiej. Odpowiadamy to, cośmy już w innych słowach powiedzieli „Kurierowi Porannemu": i **my chcemy tylko równouprawnienia.** Za to równouprawnienie rzeczywiste i całkowite, za dostęp do wszystkich tych dziedzin pracy i wytwórczości, do których wejście po dzień dzisiejszy jest dla nas zamknięte na siedem spustów, za należny nam udział w stanowiskach ogromnego aparatu państwowego i samorządowego, za pracę w przedsiębiorstwach państwowych monopoli — gotowiśmy każdej chwili zrezygnować z naszych — pożal się Boże! — nędznych „monopoli" handlowo-straganiarskich.

My także nie chcemy nic innego, jak właśnie **równouprawnienia.** Albowiem równouprawnionych obywateli państwa nie wolno i nie można wyprzeć z ich nędznych warsztatów pracy i zarobku, bez jednoczesnego zapewnienia im dostępu do innych gałęzi wytwórczości. Równouprawnionych obywateli nie można przecież skazać na wymarcie, utopić w morzu albo zgoła... wysłać na Madagaskar.

Gauleiter von Bohle robi statystykę

W tygodniku **„Świat"** red. **L. Chrzanowski** przeciwstawia dwa fakty, które najdotkliwiej ilustrują nasze obecne oficjalne stosunki z Rzeszą Niemiecką.

Fakt pierwszy: Odbył się ostatnio pogrzeb wice-wojewody śląskiego i b. powstańca ś. p. **Zgrzebnioka.** Nad mogiłą zmarłego przemawiał wojewoda dr. **Grażyński,** wyrażając się m. i. w ten sposób: „Twoja mogiła będzie symbolem naszych nie spełnionych nadziei i tęsknot". Ambasador niemiecki **von Moltke** uznał, że słowa te godzą w całość terytorialną jego państwa i złożył piśmienny protest w M. S. Z.



Fakt drugi: P. von Bohle, kierownik Gau-Ausland (okręgu zagranicznego) partii nacjonal-socjalistycznej, wysłał do Niemców za granicą (a więc także do Niemców w Polsce), kwestionariusz statystyczny, prosząc o dostarczenie mu szczegółowych danych, dotyczących działalności placówek handlowych i przemysłowych, w których Niemcy ci pracują. Te zamiłowania statystyczne p. von Bohle, są istotnie godne podziwu, wkraczają one jednak w dziedzinę, która bardzo przypomina ...wywiad.

Red. Chrzanowski porównywa te dwa fakty: amabasadorowi Rzeszy wystarczyły do złożenia protestu rzeczy tak abstrakcyjne i nieuchwytne jak „nadzieje" czy „tęsknoty" — a nasz ambasador w Berlinie, p. **Lipski** nie protestuje przeciw rzeczom tak konkretnym, jak „badania statystyczne" Gauleitera v. Bohle.

Posen und Bromberg

O działalności statystycznej Trzeciej Rzeszy i o jej istotnych motywach dowiadujemy się też z innej, wysoce ciekawej informacji tygodnika „Świat".

W Berlinie założono ostatnio Instytut Planowej Gospodarki Niemiec, którego zadaniem ma być badanie stanu obecnego, celem układania planów na przyszłość. „Widząc, co jest dziś, przewiduje się z maksymalnym prawdopodobieństwem, czego trzeba będzie dokonać, aby wszystko było jak najlepiej za lat 25". Słusznie „Świat" ironizuje z rasowo-germańskiej przemądrzałości: „Jak dotąd tylko podziwiać i chylić czoło przed mądrością".

Nie wszystko jednak przedstawia się tak pięknie. Albowiem „w kartotekach opracowujących materiały orientacyjne, wśród pokoi, przeznaczonych dla poszczególnych okręgów Rzeszy — zarezerwowano dwa pokoje, oznaczone nazwami: **„Posen"** — (po polsku Poznań, jeśli się nie mylimy?) oraz „Bromberg" — (po naszemu Bydgoszcz). To zainteresowanie teraźniejszością i przyszłością Poznania i Bydgoszczy powinno wprost wzruszyć wrażliwe nasze serca.

Ach, jakich my tam mamy prawdziwych przyjaciół. Jak oni się troszczą, aby **nasz** „Posen" i **nasz** „Bromberg" jak najświetniej się rozwijały".

Światła i cienie stolicy naddunajskiej.

(LIST Z WIEDNIA).

Wiedeń! Bez przesady najczarowniejsze miasto w Europie. Wiedeń posiada walory, jakich brak najpiękniejszym stolicom europejskim. Wiedeń zachował na zewnątrz dawny majetsat, dawny blichtr, dawną imponującą wspaniałość. Ale tylko dla oka. Piękne, wspaniałe monumentalne gmachy, siedziby poszczególnych ministerstw, czy innych wysokich urzędów i instytucji państwowych, — służą dziś innym celom, aniżeli te, dla których zostały wzniesione. To samo dotyczy gmachów prywatnych, wielkich domów bankowych, różnych centrali potężnego ongiś przemysłu austriackiego, obliczonego na całą wielką monarchię.

CESARSKI „BURG" CZEKA...

I burg cesarski do niedawna, na złość bogoojczyźnianym legitymistom, mieścił w swoich murach różnego rodzaju „Fürsorgeamty". Dopiero ostatnio, pod naciskiem tych właśnie sfer, a zresztą z pełną aprobatą rządu, oddano, przynajmniej w teorii, cesarzowi co cesarskie. Burg cesarski jest oczyszczony z miazmatów socjalnych instytucji i czeka na przyjęcie cesarza i jego dostojnego dworu. Czeka czasem w pustych historycznych salach burgu, duchy zmarłych cesarzy urządzają sobie po nocach spotkania, rozpamiętywując dobre dawne dzieje.

SYTUACJA OGÓLNA.

Na ogół nastąpiła po krachach finansowych ostatnich lat pewna stabilizacja stosunków. Poziom tej stabilizacji jest wprawdzie bardzo niski, ale bądź co bądź zapewnia on maksimum szczęśliwości i światu pracy minimalne warunki bytowania.

Wiedeńczykom nie trzeba wiele, by czuli się dobrze i szczęśliwie. Nie ma na świecie ludzi o tak pogodnej mentalności, jaką posiada ludek wiedeński. Kufel piwa lub szklanka taniego „Heurirger" (wino tegoroczne) — i już jest „Stimmung". Wiedeńczyk kocha życie, lecz nie przejmuje się też zbytnio śmiercią. Nie zna, co to troska o jutro. Dziś mu dobrze, dziś żyje. A gdy znajdzie się w sytuacji, z której nie ma wyjścia, odchodzi od życia bezgłośnie, bez żalu do nikogo i niczego.

Oficjalnie lojalny stosunek rządu do Żydów został ostatnio mocno nadszarpnięty. Członek rządu, Dr. Glaise Horstenau stanął na czele powołanych znów do życia starych nacjonalistycznych związków niemieckich z paragrafem aryjskim. Świadczy to, że zanosi się na zmianę oficjalnego kierunku w stosunku do Żydów. Położenie Żydów w Wiedniu (drugie co do liczebności po Warszawie, skupienie żydowskie w Europie) staje się z dnia na dzień krytyczniejsze, a sytuacja byłych uchodźców wojennych z Polski (byłego zaboru austrjackiego), jest wprost tragiczna. Żyją oni z dnia na dzień, nie wiadomo z czego. Zaznacza się też stale ubytek ludności żydowskiej w Wiedniu, która, gdy tylko ma ku temu sposobność, emigruje. W dzielnicach żydowskich II i XX obwodu panuje z nielicznymi wyjątkami krańcowa nędza. Nędzę tę najlepiej ilustruje fakt, że około 70% tej ludności korzysta z zapomóg świątecznych gminy żydowskiej.

„TOBIS SASCHA" „JUDENREIN"

Założone kilka lat temu w Wiedniu przez adwokata wiedeńskiego, Żyda, dr. Oskara Pilzera (pochodzeniem z Bielska) Towarzystwo Filmowe „Tobis Sascha" dało początek zakrojonej na wielką światową skalę produkcji filmowej w Austrii. Przemysł filmowy rozwinął się od tego czasu niebywale. Filmy „Tobis Sascha" zyskały sobie uznanie wszędzie tam, gdzie tylko wersja niemiecką dociera. U nas w Polsce filmy wiedeńskie „Tobis Sascha" (wszytskie prawie filmy z Franciszką Gaal i inne) cieszyły się przecież niebywałym powodzeniem. Obecnie, pod presja hitlerowskich Niemiec, grożących bojkotem filmów „Tobis Sascha", zmuszono Dr. Oskara Pilzera do sprzedania pakietu akcji (zapłacono śmiesznie małą sumę półtora miliona szylingów) i ustąpienia z zarządu towarzystwa. Grupa finansistów wiedeńskich, która pakiet akcji Dr. Pilzera zakupiła, dla zadokumentowania swych rasistowskich przekonań, zamianowała prokurentem towarzystwa brata Goebbelsa. Czuwać on chyba będzie nad tym, by wszystko, co wyjdzie z atelier filmowego „Tobis Sascha", było czysto aryjskie. Żyd zrobił swoje, Żyd może odejść.

LOKALE ROZRYWKOWE DAWNIEJ A DZISIAJ.

Dawne wykwintne lokale nocne Wiednia likwidują się jeden po drugim ustępując miejsca tańszym „Stimmungs"-lokalom, przystosowanym do mocno obniżonej stopy życiowej wiedeńczyków. Są to lokale o nazwach specyficznie wiedeńskich jak „Zur schiefen Laterne", „zum Fiaker" i t. p. Lokale te mają swój specyficzny czar i urok i są obecnie atrakcją dla turystów. „Zur schiefen Laterne", położone w samym sercu Wiednia, cieszy się obecnie niebywałą frekwencją tak wiedeńczyków, jak obcych. Panuje tu nastrój szampański, mimo tanich win. Wiedeń bawi się tanim kosztem i dobrze. Tylko muzyka i teatr zachowały, mimo zmienionych stosunków, dawną, wysoką przedwojenną klasę.

TEATRY.

Panujący prawie wszędzie od lat kryzys teatralny, nad którego rozwiązaniem głowią się reżyserzy, dekoratorzy i inni teatralni specę, we Wiedniu jakoś nie daje się we znaki. Teatry w Wiedniu są mimo złych warunków ekonomicznych i mocno obniżonej stopy życiowej Wiedeńczyków — przepełnione. Przyczyna: świetny aktor, pierwszorzędna inscenizacja i reżyseria oraz wdzięczna publiczność.

VOLKSTHEATER.

I Volkstheater wystawia obecnie komedię w 3 aktach Bus Foketego, ale o treści współczesnej. Główne role kreują Albert Bassermann z żoną i znany także publiczności warszawskiej z ostatnich występów Josefstaedteatru wiedeńskiego, Hans Jaray, jeden z najsympatyczniejszych i najzdolniejszych aktorów wiedeńskich młodego pokolenia. Osnową komedii jest współczesne życie polityczne, oglądane od strony podszewki t. zn. od strony życia prywatnego polityków i mężów stanu. Akcja komedii rozgrywa się w domu prezydenta ministrów (Albert Bassermann), u którego służy kamerdyner Jean (Hans Jaray). Komedia ta, napisana z rzadką werwą, obfituje w moc kapitalnych sytuacji, wyzyskanych przez tych dwóch wysokiej klasy aktorów po mistrzowsku. „Żelazny kanclerz" okazuje się jowialnym, dobrodusznym ojcem rodziny mającym swoje gastronomiczne i tualetowe słabostki, którym sprostać potrafi tylko wierny sługa, Jean. Ale kamerdyner, dbający tak bardzo o wygody domowe swego pana, okazuje się jednym z najbardziej zaciętych przeciwników politycznych swego chlebodawcy. Jean potrafi wyzyskać swój wolny czas dla kształcenia się i prowadzenia spraw partii, która wystawiła jego kandydaturę na posła do parlamentu. „Wierny sługa" wybrany zostaje posłem, a wiadomość o tym dostaje się do domu premiera przez radio, podczas obiadu, gdy przy stole usługuje Jean. Moment obwieszczenia wiadomości o wyborze lokaja na posła opozycji, zwalczającej bezwzględnie politykę premiera, stwarza sytuacje, które autor potrafił wyzyskać w sposób kapitalny. Wybory przyniosły równocześnie zwycięstwo premierowi, zapewniając mu większość w parlamencie. W domu premiera zjawia się speaker radiowy z mikrofonem, aby dać premierowi możność zwrócenia się do całego kraju z słowami podzięki za wybór oraz zachęty do pracy dla dobra państwa. Jowialny pan premier, w celu zyskania sobie popularności wśród ludu, wspomina również o wyborze swego kamerdynera na posła opozycji i oddaje głos Jeanowi. Jean wygłasza płomienną filipikę przeciwko polityce swego pana. Konsternacja. Na twarzach żony, córki i zięcia — płytkiego karierowicza — maluje się zakłopotanie. Wierny, cichy, oddany Jean, cieszący się bezwzględnym zaufaniem całego domu, okazuje się zdrajcą, który podstępnie potrafił wkraść się w łaski państwa premierostwa, działając równocześnie przeciwko nim. Komizm sytuacji osiąga punkt kulminacyjny w chwili, gdy Jean, po wygłoszeniu swej, potępiającej politykę premiera, mowy, w sposób jaknajbardziej uniżony, zabiera się do swych czynności „zawodowych". Polityka i obowiązek wobec tych, którzy go wybrali, — swoją drogą, a obowiązek służbowy względem chlebodawcy — swoją drogą. Ten szczególny stosunek premiera do posła — kamerdynera, który przyczynia się swoimi wystąpieniami w parlamencie do obalenia rządu, stwarza sytuację, wywołujące na widowni raz po raz salwy śmiechu. Polityczne tło komedii, obfitujące w pierwszorzędne aktualne powiedzenia i kalamburv oraz gra: Bassermann — Jaray, sprawiają, że widownia Volksteatru wypełnia się co wieczór po brzegi.

KAMMERSPIELE DES THEATERS IN DER JOSEPHSSTADT.

Ten mały nader sympatyczny teatrzyk, położony w ślepej uliczce, tuż przy Rotenturmstrasse, po kilkumiesięcznej przerwie w działalności, wzięty został w dzierżawę przez dyrekcję Reinhardtowskiego Josepfsstaedtertheater. Grają tu ciekawą komedię Bourdeta w 5 akt. p. t. „Feine Gesellschaft". Bourdet, jeden z najbardziej wziętych francuskich autorów dramatycznych obecnej doby, dyrektor Komedii Francuskiej, napisał wiele obyczajowych sztuk teatralnych na tle życia ludzi z t. zw. dobrego towarzystwa. Niektóre z nich, jak „Die Gefangene", „Das schwache Geschlecht", wystawione w Josepfsstadtertheater u Reinhardta. Obecnie sięgnął Bourdet tematycznie do dobrego towarzystwa, ale w cudzysłowie. „Feine Gesellschaft" — to paryski świat złodziejski, oglądany krytycznym okiem artysty-psychologa. Sztuka ta, w której dialogi toczą się po części w gwarze świata podziemnego t. zw. „Argot", przyjęta została przez krytykę wiedeńską entuzjastycznie. Autor wkłada w usta swoich bohaterów — złodziejów sentencje, demaskując nasz świat towarzyski.

Osia komedii — to poczciwy urzędniczyna Max (Hans Moser), którego beznadziejnie szare życie rozjaśnia się nagle przez symulowaną miłość młodej kobiety, Loulou (Lotte Lang), która w celach złodziejskich potrafiła usidlić zakochanego w niej po uszy Maxa. Hans Moser w roli naiwnego, szczęściem promieniejącego, nie przeczuwającego nic złego, Maksa, to kreacja, która na długo pozostaje w pamięci widza.

Oryginalną sztukę Bourdeta, o której mówi obecnie cały Wiedeń, wyreżyserował po mistrzowsku znany aktor sceny Reinhardtowskiej — Hans Thimig.

J. LESER.

Wilk münhausenowski

(Dokończenie ze strony 1.)

nie są jednocześnie całkowitym przekreśleniem ideałów i haseł tego obozu — tak jak je przynajmniej w swoim czasie podawano do wiadomości publicznej, jak nimi karmiono społeczeństwo? Czy to jest więc wykonanie zaleceń Marszałka?

Bo przecież naiwnie prymitywne są próby usprawiedliwienia tego wekslowania z ideologii Marszałka Piłsudskiego na tory „Myśli nowoczesnego Polaka". Czyżby p. pułk. Miedziński poważnie myślał, że poza nienawiścią, nic więcej nie różniło w 1905 roku Piłsudskiego od Dmowskiego, i skoro jednego z nich nie stało, to ta nienawiść straciła całą treść? Czy pułk. Miedziński sądzi, że społeczeństwo nie pojmuje, iż nie nienawiść różniła tych dwóch ludzi, lecz że nienawiść była wyłącznie skutkiem różnicy poglądów i ideologii — a ta przecież pozostała. Bo chyba pułk. Miedziński nie odważy się twierdzić, że Marszałek Piłsudski zmienił swoje poglądy i przeszedł na podwórko Dmowskiego: aż do swojej śmierci nie ujawnił tego, a po Jego śmierci mogli zmienić poglądy tylko Jego epigoni, lecz nie On sam. Dmowski zaś swoich poglądów nie zmienił, — przeciwnie, jeszcze dokładniej je sprecyzował w poglądach swoich młodych adeptów, naśladujących żywcem Hitlera. Naturalnie po 1905 r. marsz. Piłsudski poglądy swoje zmienił. W 1905 r. marsz. Piłsudski był jeszcze soc. i marzył o Polsce nie tylko niepodległej, ale i robotniczo-włościańskiej, socjal-demokratycznej. W 1926 roku marszałek Piłsudski momentów tych zaniechał, ale do Dmowskiego się nie zbliżył. Nie stanął na stanowisku skurczenia Polski do państwa tylko jednej — wprawdzie głównej i przodującej narodowości, nie stanął na stanowisku wynarodowienia lub wygłodzenia mniejszości narodowych. Przeciwnie, potraktował Polskę, jako wspólne dobro wszystkich obywateli bez różnicy narodowości. A to nie było i nie jest hasłem Dmowskiego, który spoteozował dla Polski hasła hakatyzmu, buty i brutalności pruskiej w przekładzie na język polski, a którego epigoni, idąc po tej samej linii, apoteozują hasła nowoczesnych Prusaków, ze swastyką na ramieniu. Prawda, że spór orientacyjny z r. 1905 nie jest aktualny.

Teraz ten moment odpadł, bo Polska jest Państwem wolnym, ale nie na tym przecież polegała różnica pomiędzy endekiem, a piłsudczykiem, nie na taktyce, a na treści, na rozbieżności poglądów, na to jaka miała być ta przyszła, wyzwolona Polska. A ta różnica się nie zmieniła — chyba, że się przekreśliło hasła majowego przewrotu.

Nie jest wstyd być nacjonalistą, ale należy odróżniać nacjonalizm od szowinizmu. Endecy byli i pozostali szowinistami, i to w najgorszej tegoż postaci: dżingoistami. Obóz majowy był przeciwny szowinizmowi. Różnica była nie „de nomine" i „de facto", tylko w płaszczyźnie: „pożerać innych", czy „żyć swobodnie i dać żyć innym". I socjaliści są nacjonalistami — racja — ale nie w sensie wilczym, nie w rozumieniu spółki: Hanemann-Kanemann-Tiedemann. Jeżeli obecnie pułk. Miedziński uważa, że zanikały różnice pomiędzy nim a Dmowskim, — to niech lepiej powie głośno i otwarcie: Dmowski, vicisti! Treść jego referatu — to najpospolitsza, sromotna kapitulacja.

Z bagażem ideowym pułk. Miedzińskiego stało się to, co z koniem w opowiadaniu słynnego łgarza, barona Münhausena. Wilk powoli pożerał konia, na którym on jechał, i baron dalej harcował już nie na koniu, tylko na wilku. Münhausen opowiada, że szczęśliwie dojechał na wilku, i na tym cały jego koncept polega.

Ale Münhausen jest łgarzem. Wątpimy, czy jazda Miedzińskiego na endeckiej frazeologii, która pożarła jego młodzieńcze ideały, będzie fortunna. Jazda na wilku nigdy nie bywa bezpieczna. . .

Leopold Halpern

Od Piłsudskiego do Dmowskiego

Spór dziejowy, który przez trzy dziesięciolecia Polski współczesnej toczył się pomiędzy Józefem Piłsudskim a Romanem Dmowskim — nie doczekał się dotąd swego rozstrzygnięcia. Albowiem idee, w imię których te dwie sztandarowe osobistości Polski dwudziestego stulecia krzyżowały ze sobą szpady przed trzydziestu, przed dwudziestu, czy przed dziesięciu laty — po dzień dzisiejszy nie zostały zasypane pyłem przedawnionej przeszłości. One żyją, one są, one nadal stanowią jedno z ważnych kryteriów walki o przyszłość i oblicze Polski, która z taką zaciekłością toczy się ostatnio w społeczeństwie.

Jeszcze nie nadszedł czas dla historyka, by wydać sąd obiektywny a sprawiedliwy w tym wielkim sporze. A już napewno żaden człowiek obiektywnej wiedzy nie pokusi się poważnie dowodzić, że owszem, spór istniał, ale tylko przed trzydziestu laty — dzisiaj natomiast nie może już być powodem walki.

Takiego trudnego zadania podjął się jednak ochoczo p. płk. Miedziński, który wcale nie jest historykiem, ale ponoć zręcznym i bardzo elastycznym politykiem. Polityka wszakże obowiązują, jeśli nie zawsze obiektywne prawdy naukowe, to w każdym razie *polityczne fakty*. *Te właśnie fakty* i tylko *fakty* chcemy przypomnieć nowokreowanemu „nacjonaliście" — i to *fakty* nie tylko z r. 1905, ale także z lat późniejszych: 1912, 1914, 1919, 1920, 1922, 1924, 1926, 1935! Nie związani ani z obozem piłsudczyków ani tym bardziej dmowszczyków, czujemy się powołani przypomnieć pewne rzeczy tym, którzy sami zapomnieli i starają się wpłynąć na zanik pamięci u innych.

Pod jednym względem p. Miedziński miał istotnie rację: w roku 1905 różnice te istniały i to w tak jaskrawej formie, jak nigdy przed tym. Z powodzi faktów wybieramy tylko trzy, które najdobitniej ilustrują sprzeczność poglądów, założeń politycznych oraz ideowej wiary tych dwóch polskich mężów stanu: 1) W czasie wojny rosyjsko-japońskiej Piłsudski udał się na zaproszenie rządu japońskiego do Tokio, celem omówienia możliwości antyrosyjskiej akcji zbrojnej w Królestwie. Wtedy Dmowski wystąpił z energiczną kontrakcją, w rezultacie której plany Piłsudskiego spaliły na panewce. 2) W czasie rewolucji rosyjskiej Piłsudski stał na czele PPS., prowadząc szeroko zakrojoną akcję nielegalną przeciw caratowi, a tym samym przeciw Rosji. Dmowski w tym okresie organizował bojówki N. Z. R., których zadaniem było w krwawej walce bratobójczej tłumić odruch rewolucyjny, a zarazem niepodległościowy robotnika polskiego. 3) W r. 1906 Piłsudski, wraz z całą lewicą w Rosji bojkotował wybory do Dumy, partia Dmowskiego natomiast brała w nich czynny udział.

Czego dowodzą te trzy fakty? Oto Piłsudski, walcząc o niepodległość Polski orientował się na wrogów zewnętrznych i wewnetrznych Rosji—Dmowski zaś sukał lepszej przyszłości politycznej dla Polski w oparciu o Rosję: Piłsudski orientował się na rewolucyjny proletariat i demokrację — Dmowski na rząd carski i na reakcję: Piłsudski szedł ku niepodległości drogą walki zbrojnej — Dmowski drogą ugodowej dyplomacji.

Dlatego także w przełomowym r. 1912 Piłsudski stworzył Komisję Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych — Dmowski zaś antyszambrował w Petersbugu, pragnąc uzyskać samorząd terytorialny w Królestwie z antyżydowską ordynacją wyborczą; w tymże roku lewica polska zdobyła jedyny mandat poselski Warszawy dzięki poparciu elektorów żydowskich, — partia Dmowskiego natomiast zaabsorbowała się całkowicie bojkotem Żydów.

W r. 1914 legiony Piłsudskiego wyruszyły z Oleandrów do walki z Rosjanami, — a Dmowski założył w Lozannie Komitet Narodowy i na własny wniosek został obrany jego prezesem. Gdy Piłsudski brał udział w walce z Rosją — Dmowski pertraktował z nią i z jej sojusznikami. A gdy legiony wkraczały do miast i miasteczek zaboru rosyjskiego — zwolennicy i uczniowie Dmowskiego czołobitnie witali chlebem i solą rosyjskich dowódców, poprzestając na szczuciu ich przeciw ludności żydowskiej. Tak było przed i w czasie wojny...

W polsce Niepodległej spór ten nie tylko nie wygasł, ale przeciwnie, niebywale się zaostrzył. Rada Stanu oddała 11. listopada 1918 r. całą władzę cywilną i wojskową Piłsudskiemu. Ale ani Naczelnik Państwa, ani powołany przezeń rząd, przez długie miesiące nie byli uznawani przez państwa ententy, albowiem w... Paryżu rezydował inny rząd polski — Komitet Narodowy Dmowskiego. Ignacy Paderewski przybył do Polski z misją pogodzenia dwóch mężów stanu, ale nigdy tego nie zdołał dokonać. Dopiero po groteskowym „zamachu stanu" ks. Sapiehy w nocy z 4 na 5 stycznia 1919 r., po powołaniu gabinetu Paderewskiego udało się znaleźć drogę formalnego porozumienia pomiędzy rządem warszawskim a paryskim komitetem — do pojednania pomiędzy Piłsudskim a Dmowskim nie doszło nawet wtedy.

Albowiem na paryskiej Konferencji Pokojowej zarysowała się znowu jaskrawa różnica poglądów i metod pomiędzy mężami zaufania Naczelnika Państwa a Dmowskim. Dnia 29 stycznia 1919 r. Roman Dmowski wygłosił na Konf. Pokojowej pięciogodzinną mowę, która obok niewątpliwych zalet politycznych zawierała także silne momenty antysemickie. Efekt był ten, że Dmowski zraził swym antysemityzmem Loyd - George'a i kilku wpływowych członków delegacji brytyjskiej. Dopiero Paderewski — wcale nie piłsudczyk, ale premier, działający wtedy w porozumieniu z Naczelnikiem Państwa — musiał to złe wrażenie usuwać.

Nad salą Obrad Sejmu Ustawodawczego nie raz unosił się cień dwóch mężów stanu — antagonistów. Już pierwszy krok polskiego parlamentu był tego dowodem: partia Dmowskiego przeforsowała na Marszałka Sejmu swego kandydata wbrew Witosowi, kandydatowi Piłsudskiego, który uważał, że polskiemu Sejmowi winien przewodniczyć polski chłop. Ale konflikt zarysował się w całej jaskrawości przy uchwaleniu t. zw. Małej Konstytucji (prowizorium ustrojowego), którą posłowie Dmowskiego ułożyli pod kątem jawnego antagonizmu do osoby Naczelnika Państwa.

Podstawowa koncepcja mocarstwowa Piłsudskiego, który do Wielkiej Polski dążył drogą federalizmu, była w r. 1920 zaciekle zwalczana przez późniejszego twórcę „Obozu Wielkiej Polski". Niepowodzenie ostateczne wyprawy kijowskiej 1920 r. było w pewnej mierze skutkiem akcji i przeszkód ze strony partii Dmowskiego. W okresie wojny z bolszewikami ataki endeckie na Naczelnego Wodza i rzucanie mu pod nogi kłód w chwilach, gdy ważyły się losy Warszawy i Polski — przybrały wprost monstrualny charakter. Dla ilustracji stosunków, które wtedy panowały pomiędzy Naczelnym Wodzem, wojskowymi i cywilnymi zwolennikami Dmowskiego oraz francuską misją wojskową, przytaczamy głos ucznia i następcy Piłsudskiego, ówczesnego generała Śmigłego-Rydza. *„Zaprowadzony raz przez Marszałka Piłsudskiego do Sztabu Generalnego, gdzie zastałem gen. Rozwadowskiego i gen. Weyganda, byłem świadkiem burzliwej sceny, wywołanej przez zarządzenia Sztabu, działającego pod wpływem alarmów warszawskich, które to zarządzenia wprowadzały zamieszanie w plan Naczelnego. Wodzu, byłem świadkiem ogromnej rezerwy powściągliwości gen. Weyganda w kwestii zarządzeń polskiego dowództwa."* („Byście o sile nie zapomnieli)

Rok 1922. Wybory pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej, walka zwolenników Narutowicza (kandydata i przyjaciela Piłsudskiego) ze zwolennikami hr. Zamojskiego (kandydata Dmowskiego). Była to jedna z największych tragedii Polski Niepodległej, a jej podłoże stanowił antagonizm Piłsudskiego i Dmowskiego. O tragizmie tego konfliktu, o tym, co oznaczał dla obozu Piłsudskiego, nie musimy już teraz powtarzać (pisaliśmy zresztą o tym w ramach recenzji o książce marsz. Śmigłego-Rydza w 4. num. „Steru").

Czasy nowsze nie przyniosły zmiany stosunku politycznego pomiędzy Piłsudskim a Dmowskim, o których p. płk. Miedziński był łaskaw pamiętać, że nienawidzili się w. 1905... Ustawa o organizacji władz wojskowych, w wyniku której Marszałek musiał opuścić służbę czynną, lata dobrowolnego wygnania w Sulejówku, przewrót majowy i wszystko, co było z nim związane — te fakty nie miały przecież miejsca... w r. 1905?

I nie w 1905 r., ale równo trzydzieści lat później, owego żałobnego r. 1935, gdy ziemskie szczątki Józefa Piłsudskiego spoczywały jeszcze na katafalku — jedyny zgrzyt w pośmiertnym hołdzie całego społeczeństwa przyszedł właśnie ze strony partii Dmowskiego i jego organu prasowego...

Nienawiść pomiędzy Piłsudskim a Dmowskim z r. 1905 pozostała bez zmiany do końca życia Marszałka, a nawet po śmierci Jego pozostawiła widomy ślad. Była to nienawiść nie osobista tylko, ale ideowa, światopoglądowa i zasadnicza. Taka nienawiść jest najgłębsza, najsilniejsza i najtrwalsza.

Jeśli więc płk. Miedziński i jemu podobni chcieliby dziś z takich czy innych względów nad tym historycznym antagonizmem przejść do porządku, to nie działają oni w myśl ideologii towarzysza „Wiktora", wkraczając świadomie, czy ślepo na drogę, która przecież prosto prowadzi od Piłsudskiego do Dmowskiego.

Quod erat demonstrandum.

Inż. A. GLIZER

DNI «SPOKOJU»

(KORESPONDENCJA WŁASNA „STERU" Z PALESTYNY)

Wydarzenia dni ostatnich w Tyberiadzie nie stanowią właściwie nic niezwykłego na ogólnym tle stosunków, które zapanowały w Palestynie z chwilą odwołania strejku arabskiego. Tak, jak do owej chwili panowało w sferach arabskich, a w dużej mierze także i w angielskich, konwencjonalne kłamstwo, jakoby strejk i niepokoje były powszechne i ogarnęły całą bez wyjątku ludność arabską, tak zaczął od owej chwili obowiązywać inny umowny fałsz, jakoby zupełny spokój w kraju zapanował, a to na pierwsze wezwanie arabskich królów i książąt oraz Naczelnego Komitetu Jerozolimskiego.

Faktyczny rozwój wydarzeń uniemożliwił prawie utrzymanie tezy o zupełnym spokoju. Zastąpiono ją wówczas twierdzeniem o niepolitycznym charakterze wypadków. W twierdzeniu tym jest już więcej prawdy. Nie ulega wątpliwości, że fala teroru ogarniająca od miesięcy społeczeństwo arabskie w Palestynie, jest w pokaźnej części pozbawiona zabarwienia politycznego. Pół roku życia z bronią w ręku, zatarcie granic między bandytyzmem a działalnością patriotyczną, bezkarność, jaką régime palestyński prawie zagwarantował „narodowym" przestępcom, — wszystko to padło na urodzajną glebę specyficznej arabskiej tradycji, nie mogło nie doprowadzić do rozigrania się instynktów mordu, rabunku i zniszczenia, drzemiących pod cienką tylko warstwą „europejskości" w każdym człowieku pustyni.

Wszystkie stare, nowe i najnowsze porachunki między rodami, rodzinami i jednostkami, porachunki, które obyczajowość arabska nakazuje krwawo regulować, wypłynęły teraz na powierzchnię. Okres uregulowanego życia pod władzą europejskiej administracji utrudnił krwawą zemstę, boje między „chamułami" (rodzinami) fellachów, ciągnące się nie raz przez dziesięciolecia, i wojny między familiami wielkich panów, effendich. Nie znikły one w istocie nigdy z powierzchni życia arabskiego w Palestynie. Mordy, starcia, w których całe wsie nie raz brały udział, podpalenia, niszczenie dobytku, dewastowanie lasów notowane były w kronice dni spokojnych. Ale nie były wówczas, oczywiście, ani zupełnie łatwe, ani zupełnie bezpieczne. Inaczej obecnie. Jest broń, jest nastrój, jest atmostfera, w której uzbrojony Arab jest prawie pewien życzliwej pomocy, a już conajmniej wymuszonej tolerancji społeczności arabskiej, bez względu bodaj na rodzaj użytku, jaki ze swej broni robi. Jest wreszcie galimatias, w którym ryzyko natrafienia na reakcję władz jest minimalne. Czemuż więc się dziwić, że nadszedł czas spłaty wszelkich realnych i urojonych długów?

Równolegle z tym likwidowaniem zaległości rozwija się zwykły bandytyzm. Wszystkie okoliczności, które ułatwiają obecnie wzajemne porachunki, ułatwiają też normalny rabunek. Jest to znów li tylko powrót do wiekowej tradycji beduińskiej, która widziała w zbrojnym napadzie rabunkowym szlachetne i rycerskie przedsięwzięcie, kwintesencję wolnego, gardzącego pracą, życia pustyni. Do tego dołączyły się teraz poważne motywy gospodarcze. Półroczny strejk wygłodził niebywale słabsze ekonomicznie warstwy arabskie. Bogaczy kosztowały rozruchy dużo pieniędzy, ale biedaków pozbawiły chleba. Nic w obecnych warunkach nie jest bardziej pociągające, jak odkopanie karabinu, ukrytego w ogrodzie, wyjście na szosę i czatowanie na przejeżdżające auta. A od tego zaledwie krok jeden do napadów na wsie, obrabowanie fellachów i wymuszania pieniędzy od chłopów i mieszczan.

W tym miejscu „polityczny rabunek" znowu wraca do swej politycznej macierzy. Albowiem wymuszenia to przede wszystkim domena „narodowych" terorystów, którym patronuje mufti jerozolimski. Trudno ocenić, wiele z sum wymuszanych wpada do prywatnych kieszeni wymuszających i ich prowodyrów, nie zawsze mających czyste ręce, wiele idzie na utrzymanie zastępów terorystów i jaki (napewno niewielki) ułamek przypada na właściwe cele „patriotyczne", t. zn. w pierwszym rzędzie na zakup broni i amunicji. Wydaje się, że głównym celem wysiłków terorystów jest uzyskanie funduszów dla siebie. W każdym razie sumy wymuszane są wielkie i nie ulega wątpliwości, że ogólny obrót jest zgoła imponujący. Kto nie płaci, staje się ofiarą teroru. Czeka go wraz z rodziną, krewnymi i powinowatymi nóż, kula i bomba. Ale nie na tym koniec. Teror zorganizowany, „narodowy" nie ogranicza się tylko do funkcji inkasenta, względnie egzekutora podatkowego. Równolegle dyskontuje się długi polityczne. Jedność polityczna, panująca ostatnio wśród Arabów, jest pozorna. Na zewnątrz reprezentuje Naczelny Komitet Arabski, rządzony przez mufti'ego, „cały naród". Wewnątrz nie znikły rozdźwięki, a niektóre nawet przybrały na sile. Dawny antagonizm między Husseinimi (rodzina mufti'ego) a Naszaszybimi wszedł pod ziemię, ale istnieje i jest może ostrzejszy, niż kiedykolwiek. Przeciwieństwa między muzułmanami a chrześcijanami długo tłumione, wybuchły po rozruchach ze wzmożoną siłą na tle słabego faktycznego udziału chrześcijan w akcji terorystycznej i na tle konkurencji handlowej o wyzyskanie antyżydowskiego bojkotu gospodarczego, proklamowanego przez Naczelny Komitet. Jest jedno miasto, które z różnych przyczyn prawie w całości ze swym arabskim burmistrzem na czele odmówiło udziału w strejku i rozruchach i tym swoim stanowiskiem w poważnej mierze zdecydowało może o przegranej strejku. Mamy na myśli Haifę, której port był cały czas, w odróżnieniu od Jaffy, czynny, a burmistrz Hassan Szukri nie chciał przerwać współpracy z ludnością żydowską miasta. Są funkcjonariusze rządowi Arabowie, którzy — znowu w odróżnieniu od wielu innych swych kolegów, nie sprzeniewierzyli się w czasie rozruchów obowiązkom służbowym.

Obecnie likwiduje się te porachunki i „prostuje linię". Teroryzuje się bogaczy arabskich. Teroryzuje się wewnętrzną arabską opozycję polityczną, przeciwników mufti'ego, przede wszystkim zwolenników Naszaszibi'ego, szukających obecnie oparcia w emirze Abdalli z Transiordanii. Steroryzowano w niebywały sposób chrześcijańskich Arabów. Urządza się wielokrotne zamachy na burmistrza Haify i powinowatych jego, na arabskich oficerów policji i ich rodziny itd. Ze zrozumiałych przyczyn skoncentrowano akcję terorystyczna w Haifie, dążąc najwidoczniej do przełamania tabu, którym miasto to się otoczyło.

Haifa jest teraz pierwszym miastem, gdzie znaleźli się Arabowie, którzy odważyli się publicznie wystąpić przeciw panoszącemu się terorowi. Snać teror i wymuszania bardzo im już dopiekły, skoro delegacja „notabłów" haifskich zdecydowała się udać do gubernatora i żądać poskromienia zamachowców, tych do niedawna beniaminków effendich. Są znaki, że i w innych miejscowościach budzi się reakcja. W Jaffie udała się, za przykładem Haify, delegacja do gubernatora z podobną skargą i żądaniem. W Jerozolimie wydarzyły się incydenty, które wskazują, że naszaszibiści jak gdyby zorganizowali kontrolerów.

W pewnej fazie obrad Komisji Królewskiej było parę prób terorystycznych na starym mieście jerozolimskim. Ostatnio było kilka wypadków ostrzeliwania kolonii po nocy. A w tych dniach mieliśmy wydarzenia tyberiadzkie. Jak na czasy „spokojne", a takie ponoć teraz na życzenie królów arabskich nadeszły, byłoby tego aż nadto. Ale w porównaniu z tym, cośmy nie dawno mieli, z tym, co się dzieje wśród samych Arabów, — to się prawie nie liczy..

Nie ulega wątpliwości, że arabskie koła krańcowe gotują się do nowego ataku. (Żydzi i wojsko przygotowują się też do jego odparcia). Trudno przepowiedzieć, czy i kiedy nastąpi. Koniunktura ogólna nie jest teraz korzystna dla nowego wybuchu. Wyczerpanie gospodarcze Arabów palestyńskich, odrzucenie pan-arabizmu przez nowy rząd Iraku, wystąpienie Turcji z roszczeniami do części terytoriów arabskich i związane z tym trudności Syrii (na razie w Aleksandrecie, ale możliwe, że nie na tym koniec i przyjdzie jeszcze kolej na roszczenia do kurdyjskich części Iraku, zwłaszcza do ropodajnego Mosulu), wypływające z agresywności Turcji, konieczność silniejszego oparcia się państw arabskich o protekcję mocarstw europejskich, t. zn. Francji i Anglii, anglo - italski „gentlemen agreement", prawdopodobieństwo odmiennej taktyki wojska angielskiego, niż w rozruchach zeszłorocznych i szereg innych faktów nie wpływają pobudzająco na ewentualność nowych rozruchów w bliższej przyszłości. Z drugiej strony nie jest wyłączone, że budząca się reakcja Arabów przeciw terrorowi może skłonić zamachowców do ułatwienia sobie pracy przez wzmożenie „potencjału patriotycznego" w kraju, co stosunkowo najprościej osiągnąć można przez sporadyczne niepokoje narodowościowe.

W tym względzie dają wydarzenia tyberiadzkie sporo do myślenia. Przez tydzień trwała w mieście wytężona propaganda bojkotowa, która skłoniła Radę Miejską (mieszaną: 4 członkowie, w tym burmistrz, są Żydami, trzej — Arabami), do jednogłośnej uchwały w sprawie wydania apelu do ludności przeciw bojkotowi. W Tyberiadzie, mieście, w którym panował w r. 1929 zupełny spokój, a w r. 1936 udało się wywołać starcie dopiero w setnym dniu trwania rozruchów w całej reszcie kraju, — w tej to Tyberiadzie nie jest tego rodzaju apel całkiem pozbawiony sensu lub beznadziejny. Ale agitacja trwała dalej i, jak zawsze w Palestynie, znalazł się pretekst (jeszcze nie było w Palestynie rozruchów bez pretekstu). Była nią tym razem demonstracja rewizjonistów.

Co jednak nabardziej w tej sprawie wysuwa się na plan pierwszy — to zachowanie się władz. Znowu, jak zwykle, władze niczego nie przewidziały, a, gdy rzecz wybuchła, pośpieszyły się z zastosowaniem sławetnej reguły „równowagi". Nie bardzo z komunikatu rzadowego wiadomo, kto właściwie zaczął. Rannych jest dokładnie tyluż Arabów, co Żydów, aresztowanych też itd. A żydowskiemu hotelarzowi, oskarżonemu o odpowiadanie kamieniami na kamienie i pytającemu, co właściwie miał robić innego, rzecze angielski wicegubernator, zasiadujący w charakterze sędziego administracyjnego, z podziwu godna głębią zrozumienia dla pozycji Żyda w Palestynie: „— Trzeba się było ukryć".

Nie, na to nie trzeba było przyjeżdżać do Palestyny!

Tel-Aviv, 27.2.37.

Scripta manent...

Zmarły przed paru tygodniami dr. Henryk Nusbaum pisał w miesięczniku „Głos" (nr. wrześniowy) w r. 1886:

Jestem Żydem i żadne pobudki nie byłyby zdolne skłonić mię do zmiany religii już z tego względu, że uważam wierzenie religijne za sprawę czysto osobistą, najwewnętrzniejszej istoty ducha dotyczącą. — Zrozumieć nie mogę, jak odziedziczona religia wpływać może na ograniczenie praw naturalnych człowieka lub mącić jego sąd o wartości jego istotnej? Gdybym więc w celu uzyskania lepszego o sobie sądu, lub dla osiągnięcia jakichkolwiek praw lub przywilejów zmienił wiarę, — skłamałbym jej zasadzie. Wolę znosić największe chociażby ograniczenia, a czekać chwili wielkiej, w której zwycięży swoboda myśli i sumienia, w której etyka wyzwoli się z więzów religii, w której sądzić będą jednostkę z jej czynów, a nie wedle oderwanych cech sztucznie tworzonych kategorii. Jestem Żydem i twierdzę, że nie masz wznioślejszej idei na tę, jaką wygłosił światu Chrystus, ideę bezwzględnej miłości. (Nie wchodzę w porównywanie zasad Buddaizmu, Mozaizmu lub Neoplatonizmu, twierdzę tylko, że najwznioślejszym godłem na tej tu ziemi jest godło Chrześcijaństwa — Krzyż męczeński....

A gdy etykę Chrystusową uważam za najwznioślejszą, krzyż męczeństwa za najświętsze godło życia, jakkolwiek Żydem jestem i być nim nie przestanę — wznoszę głos prośby do braci nie - Żydów: Bądźcie Chrześcijanami.

Jestem Żydem i jako taki przedmiotem częstej wzgardy i nienawiści, ofiarą uprzedzenia i stronnego sądu, a jednak sądzę, że nie szemranie, nie odwet, nie nienawiść, ale owe wielkie słowa Mojżeszowe: „Kochaj bliźniego jak siebie samego", które potwierdził Chrystus, winny być godłem życiowym Rodziny Mojżesza i Chrystusa.

Tylko miłością, cnotą obywatelską, wywalczyć sobie powinni Żydzi uznanie i miłość. Nie zżymać się nam, na niesprawiedliwość chwili obecnej, ale czynami zmusić przyszłość do sprawiedlwości, a istotnych zasług naszych owoce niech orzeźwią, nasze przyszłe pokolenia tak jak my karmić się musimy owocami błędów braci i ojców współwierców, braci i ojców innowierców. Rezygnacja milcząca, pobłażanie wspaniałomyślne, miłość szczytna, altruizm, poświęcających się w stosunku do braci nieżydów — tą drogą jedynie Żydzi zamkną usta krzykliwej nienawiści, — te winny być bodźce ich życia, godła ich działalności.

Żydem jestem i Żydem być nie przestanę, a do braci moich Żydów wznoszę głos prośby:

„Jako Mojżesz legendą opromieniony, jako Chrystus ubóstwiany przez świat niemal cały — na ten wyszli z łona rodzin żydowskich — bądźcie wy, będąc Żydami, godnymi Mojżesza i Chrystusa braćmi."

DR. HENRYK NUSBAUM.

*

Jednak w roku 1919, w miesiącu listopadzie dr. Henryk Nusbaum przyjął chrzest, aby zadokumentować, że zerwał zupełnie z żydostwem.

Uczynił to w chwilach bardzo tragicznych i ciężkich dla żydostwa polskiego.

Podał **WŁADYSŁAW KONIC**

Bialik a Uniwersytet

W r. 1934, na jednym z zebrań dyskusyjnych Tel-Aviv'skiego Towarzystwa Przyjaciół Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, wygłosił Ch. N. Bialik przemówienie, z którego podajemy najważniejsze ustępy.

Redakcja

.....I ja również przychylam się do życzenia Pana Usyszkina, abyśmy dożyli tej chwili, gdy liczba studentów na naszym Uniwersytecie dosięgnie 10.000: innymi słowy, abyśmy zdołali stworzyć po temu odpowiednie warunki. Życzeniu temu nie przeciwstawi się zapewne nikt, w każdym razie nie ja, ani też przedstawiciele innych kierunków i poglądów. Zagadnienie sprowadza się jednak już w chwili obecnej, do tego, czy urzeczywistnienie życzenia zależy od naszej woli lub od woli w ogóle.

Jest to przede wszystkim kwestia metodyczna.

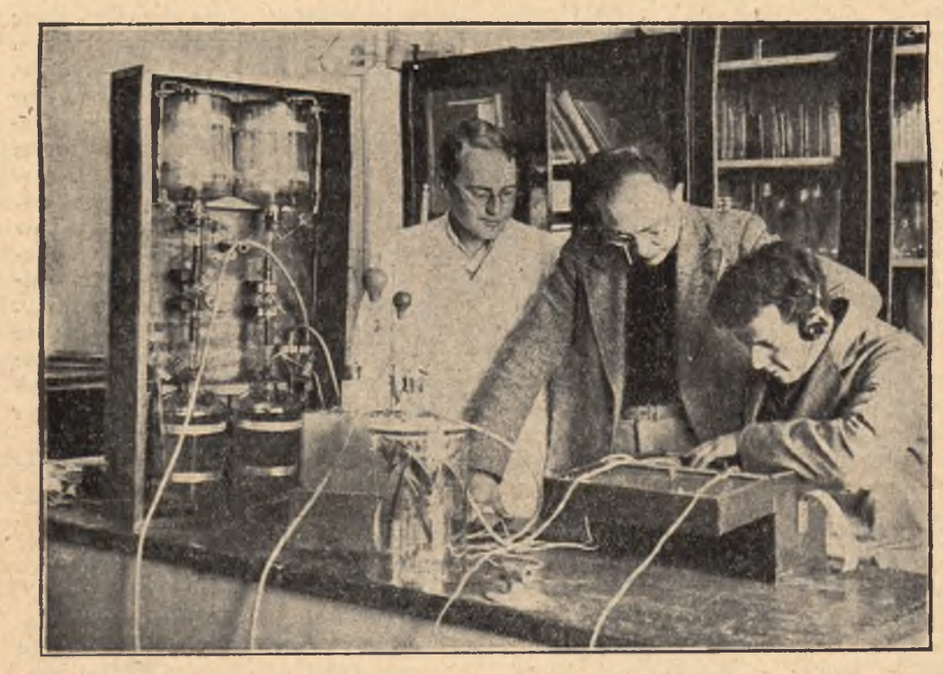
Proszę Panów nie zapominać o tym, ile to czasu musiało upłynąć, zanim takie uniwersytety, jak oksfordski i al-azharski, doszły do obecnego swego znaczenia. Nasz Uniwersytet jest młody. Gdy kiedyś liczyć będzie tyle godziwych lat swego istnienia, co inne wielkie uczelnie świata, — to zapewne, miejmy nadzieję, i studentów jego na tysiące liczyć będziemy.

Przejdźmy teraz do zakresu Uniwersytetu: moim zdaniem, powinien on objąć wszystko. Albowiem dziś nie można już wznosić muru granicznego pomiędzy życiem a wiedzą. Nic już teraz nie stoi poza wiedzą. Niewątpliwie, będą jeszcze przez pewien czas potrzebne specjalne dyplomy, my rzeczy wielkich. Ale to wszystko nie daje nam jeszcze legitymacji do współpracy w obcej kulturze; legitymację tę uzyskać można tylko wtedy, gdy się od samego początku brało udział we wszystkim, również w wadach i błędach. Nie końcowe powodzenie, ale ciężki, trudny początek, pełne odpowiedzialności odważenie się na pierwszy krok dać mogą prawo do panowania nad kulturą. My możemy dopiero tu, w Palestynie, zacząć od początku.

Przed nami leżą nowe dziedziny pracy. Medycyna nie jest jeszcze zbadana, tylko jednostki, wyjątki czynią to, ale nie poświęcono jej jeszcze stałej pracy badawczej. To samo dotyczy przyrodoznawstwa. Np. wielkie dzieło rabina Immanuela Loewa z Szegedin o florze palestyńskiej zawiera tylko wiedzę „książkową". Nikt z pracy tej nie potrafi się nauczyć, w jaki sposób sadzić rzodkiew lub cebulę. Książka wymienia zaledwie około 800 roślin, włączając już nowe plantacje, podczas gdy flora palestyńska szczyci się 60—70 tysiącami gatunków roślin. Tak więc wszystko, co pisze się za granicą, jest samą tylko literaturą, a nie żywą nauką.

Przeciwstawić się muszę wyprowadzonemu przez Pana Usyszkina dowodowi w postaci Rabi'ego Jochanan Hasandlar, który był szewcem. Rabi Jochanan żył w epoce galutu. Jeżeli Pan Usyszkin może mi przytoczyć dowód z r. 70, — to przyjmę go; nie mogę natomiast uwzględnić dowodu z okresu po zburzeniu świątyni. Rabi Jochanan wcale nie jest dowodem

W ZAKŁADZIE FIZIOLOGII U. H.



Pierwszy z prawej strony student G. Moszejow, który padł w czasie ostatnich rozruchów w Palestynie.

w ogólności jednak życie i wiedza stanowią jedno. A jeżeli Uniwersytet będzie mógł dać wiedzę, odpowiednią dla potrzeb kraju, — to przyczyni się tym samym do budzenia świadomości narodowej. Również miłość dziecka do rodziców bierze się stąd, że oni właśnie zaspakajają jego małe życzenia i troski. Uczyć na uniwersytecie poczucia narodowego — jest zbędne. Jeśli Uniwersytet posiada środki, aby własne swoje życie zjednoczyć z życiem całego narodu, — wówczas sprostać może wszystkim swoim zadaniom, wówczas miłość i poczucie jedności same z siebie zeń emanują. Gdy Uniwersytet może wychować mężów nauki, nauczycieli i urzędników, — to ci, spełniając własne zadania, spełniać będą tym samym i zadania narodowe. Do tego dążymy wszyscy. Gotowych na to recept — jednak nie ma. Tylko sama praca wytknie nam najlepszą i najwłaściwszą drogę.

Jakież specjalne zadania ma właściwie Uniwersytet? Dlaczego nie wystarcza nam skarbnica wiedzy, z której czerpie obecnie świat cały? Nauka nie ma końca, jak bez końca jest życie, i również my tutaj chcemy ja kontynuować. Pan Usyszkin sądzi, że Uniwersytet nie przyniesie pożytku, jeśli nie stanie się dla nas ośrodkiem świadomości narodowej: albowiem co się tyczy wiedzy samej, — to znajdziemy lepszą na szerokim świecie. Słusznie, tam już jest wszystko. Nie mniej jednak powstaje jeszcze dla nas doniosłe zadanie, mianowicie przenieść to, cośmy dotychczas osiągali obcymi środkami, do naszego własnego świata.

Tego dzieła przyswajania sobie obcych zdobyczy lekceważyć nie wolno. Chodzi o to, aby „targum" ten przepoić geniuszem żydowskim i duchem żydowskim. Jest to rzeczywiście sztuka i to sztuka nie łatwa. I niewątpliwie minie jeszcze sto lat, zanim my to zadanie spełnimy, zanim to, co dotychczas było nam obce, przyoblecze się w naszą skórę, wypełni się naszą krwią.

Tu, w Palestynie, trzeba jeszcze na jedno zwrócić uwagę. Istnieje głęboka różnica między Palestyną a innymi krajami. Tam napotykaliśmy zawsze rzeczy gotowe. Wprawdzie i my nie mało pracowaliśmy. Nie byliśmy leniwymi pasożytami. Czynni byliśmy we wszystkich dziedzinach kultury i nauki i dokonaliśmy to, żeśmy nie mieli hypertrofii kulturalnej w naszym narodzie. Nie żądam, aby chłop umiał czytać Schopenhauera, natomiast wymagam, aby dobrze sadził cebulę. Hypertrofia jest nie zdrowa, nawet duchowa i umysłowa. Nie potrzeba nam intelektualnego proletariatu, 100 tysięcy ludzi, którzy nie mieliby co robić. Również Majmonides, jak i później J. L. Gordon, skarżyli się, że pragnie się wszystkich uczynić uczonymi. Także w Hiszpanii walczono z nadmierną uczonością. Wyciągam zatem z życia Rabi'ego Jochanan Hasandlar inne wnioski, aniżeli Pan Usyszkin. Znaczenie tego mędrca nie polegało na tym, że szewc był Rabi Jochananem, lecz na tym, że Rabi Jochanan był szewcem. Szewc pozostać ma przy swej pracy i dobrze ją wykonywać. Wszelkie dzieło jest dziełem Boga i każdy, kto je wykonywa, musi to czynić z wiarą.

Pomimo wszystko przyłączam się do końcowego wniosku Pana Usyszkina o 10.000 studentach. *Niechaj przyjdą na Uniwersytet, niechaj się tam uczą tego, co im przyrzeczono, a odnajdą samych siebie i naród swój. Ale, aby mieć 10.000 studentów, musimy najpierw mieć 10.000 członków naszego Towarzystwa!*

Pragnę dodać, że dzieło, które nas czeka, wymaga od nas wielkiego wysiłku. Nie wolno się nam ograniczać do tego, co jeszcze z zagranicy nosimy w swoich kieszeniach. Nasza siła nie leży w ilości; musimy zwrócić uwagę na jakość, na to, co jest istotne. Musimy się śpieszyć, wciąż wyprzedzać innych. Gdyż jedyną naszą bronią jest kultura i nauka. Naszym duchowym celem nie są osiągnięcia z dnia na dzień; nie idzie tu o rzeczy błahe i łatwe. Nie możemy polegać na obcych. Uniwersytet musi się stać ośrodkiem kultury żydowskiej i przywrócić nam dawną chwałę. *Wielka będzie nasza zasługa, gdy weźmiemy na swe barki budowę Trzeciej Świątyni, Świątyni Kultury. Wprowadzić trzeba na rzecz Uniwersytetu opłatę: pół szekla: „Bogaty niech daje dużo, biedny nie mało". Na każdym ciąży wielki obowiązek przyłożenia małej cegiełki do wielkiej budowy.*

Roman Brandstaetter

Krakowskie Przedm

NA KRAKOWSKIM PRZEDMIEŚCIU

Wali mokry śnieg. Ołowiane niebo, jak pięść [illegible] się nad Warszawą, wypełnioną po brzegi mglistym i gęstym oparem. Na dziedzińcu uniwersyteckim nagie kościotrupy drzew stoją bezradnie w błotnistych kałużach. Z dala dolatuje dźwięk tramwajowych dzwonków, zmieszany z grubym basem samochodowych trąbek. Żółty budynek Biblioteki Uniwersyteckiej w [illegible] dziedzińca — jak szyldwach na warcie — osłania szerokimi barwami murów wejście do głównego gmachu warszawskiej uczelni. Poprzez żelazne kraty szerokiej bramy, prowadzącej na Krakowskie Przedmieście, widać nielicznych przechodniów, człapiących w kleistym błocie. Cień czuwa u bramy: woźny uniwersytecki, otulony w długi płaszcz, legitymuje wchodzących studentów. Poły płaszcza powiewają na zimnym wietrze, jak wzniesione do lotu skrzydła anioła. Twarz kamienna, skupiona, marsowa. Tak zapewnie wyglądał archanioł, pilnujący raju.

Mijam powoli dziedziniec i wchodzę do gmachu Biblioteki. W białym korytarzu przy okienku bibliotecznym, w którym raz za razem ukazuje się drobna twarzyczka urzędniczki, — cierpliwie czeka długa kolejka studentów. W głębi korytarza, wśród wieszadeł, palt, płaszczów, czapek, kapeluszy, parasoli — szarzeje koścista postać garderobianego, wpatrzonego sennym i [illegible] wzrokiem w szary dziedziniec. Z mokrej parasolki, wiszącej bezwładnie na wieszaku, cicho ściekają ciężkie krople wody. Szkielet połamanych drutów wyziera z pod czarnej materii.

Nagle — krzyk, krew w żyłach mrożący. Wrzask, jak klinga sztyletu, wpija się w miękką ciszę, szarpie ją i rozcina, kraje i na strzępy rozrywa. I już dookoła tego przejmującego krzyku gęsto wyrastają na górnych piętrach nawoływania i jęki, przeciągłe [illegible] rosną i rosną, co raz gęstsze, coraz groźniejsze, coraz bardziej niesamowite. Przeraźliwy łoskot pędzących stóp po stromych stopniach schodów, którymi płynie strumień staczających się ciał. I oto na brzeg białego korytarza wyrzuca bystry nurt schodów — posiniaczone ciało żydowskiego studenta. Student przez chwilę leży nieruchomo. Zwolna podnosi się, błędnym wzrokiem wodzi dookoła, Twarz pokrwawiona, białe strzępy zeszytu, jak nieżywe gołębie, leżą u jego stóp. W korytarzu poruszenie. Zafalowała niespokojnie kolejka studentów przed okienkiem bibliotecznym w okienku zastygła na chwilę nieruchoma drobna twarzyczka urzędniczki; kościsty garderobiany poruszył się niecierpliwie i poprzez wąsko zaciśnięte wargi wycedził dwa słowa, suche, i groźne, jak komunikat sztabu generalnego z placu boju: „Znowu biją!".

Lecz tłum wali już w dół. Już coraz bliższy jest łomot pędzących nóg. Ze schodów stacza się lawina ludzi. Rytmicznie podnoszą się do góry pięście i rytmicznie opadają ku dołowi. Raz, dwa, raz, dwa. Sążniste ciosy padają na grzbiety, twarze, barki, piersi i skronie drobnej gromadki studentów-Żydów, szamotających się bezradnie z rozszalałym tłumem. Jednemu z Żydów udaje się umknąć. W szalonym susie dopada bramy, wybiega na dziedziniec i — potyka się; pada w kałużę błota, w topniejący, brudny śnieg. Chce się podnieść. Lecz już jest obok niego endecki „kolega". Ponad głową leżącego zalśnił stalowy kastet. Żyd ręką zasłania się przed ciosem. Z zaciśniętej dłoni upada w błoto plik zapisanych kartek i jakaś książka. Ryk przeszył powietrze. I wówczas — tłum rozbiegł się. Przez korytarz, przez dziedziniec, na prawo, na lewo, ku głównemu budynkowi uniwersyteckiemu.

Sennie kołyszą się drzewa na dziedzińcu. Nagie konary drżą na wichrze i tracają białe płatki śniegu. Za kratami bramy, na Krakowskim Przedmieściu, migają granatowe mundury policji. Zajeżdża karetka lekarskiego pogotowia. W korytarzu słychać ostry terkot telefonicznego dzwonka. Centrala uniwersytecka łączy gabinet rektora z Ministerstwem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Wychodzę na dziedziniec. I tuż u progu gmachu bibliotecznego potrącam nogą, leżącą w kałuży błota — książkę. Podnoszę ją, strzepuję z niej wodę i rzucam wzrok na kartę tytułową: Adam Mickiewicz, Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego. A u dołu podpis właściciela: Nahum Goldwasser. Kładę książkę na lewej dłoni, a prawą wyrównywam jej pomięte, pomarszczone, wodą nasiąknięte brzegi.

Drogi kolego Goldwasser! Ta książka jest u mnie do odebrania. Znalazł ją bowiem pański kolega, Żyd, dla którego słowo jest czymś więcej, niż tylko farbą drukarską i pustym dźwiękiem. Więc ów Żyd schylił się w pokorze nad dziełem polskiego poety, które z twoich rąk w błoto wypadło, gdyś ręką zasłaniał się przed ciosami bohaterskiego aryjczyka, uzbrojonego w stalowy kastet. Ów. Żyd podniósł z mętnej, brudnej kałuży „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego", otarł je z błota, osuszył, kartki wygładził, a okładkę zlepił. I ta książka czeka na was, nieznany męczenniku sprawy żydowskiej, synu narodu, który nigdy książek nie palił na stosach, ani w błocie nie poniewierał płodów ducha ludzkiego, ani szlachetnej wiedzy nie utożsamiał z gwałtem i nienawiścią. „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego!" Ongiś biblia narodu, na którą przysięgali emigranci polscy, ongiś przed dziesiątkami lat, znak męki i rozpaczy narodowej, ongiś święty skład wiary mesjanistycznej, a dziś — pomięta, szara, w błocie sponiewierana garść kartek, świstek mokrego papieru, stratowany ciężkimi butami endeckiej młodzieży!

NA GÓRZE SCOPUS.

Wczesnym rankiem wyjechałem z Tel Avivu do Jerozolimy. Były ostatnie dni maja. Lekki, orzeźwiający powiew płynął od strony morza. Jedziemy starorzymskim szlakiem, którym szły przed wiekami na Jerozolimę zwarte legie Wespazjana, którędy waliły zdyszane kohorty rzymskich żołnierzy — na święte miasto, na Judejskiego Lwa, zaczajonego na wysokich szczytach do ostatniego, rozpaczliwego skoku. Dziś tą samą drogą wracają po pracy żydowskie combiney, ciężkie, workami zboża obładowane, — tą drogą obficie krwią nasiąkniętą, tą ścieżką męczeństwa, która świadkiem była naszej klęski, a dziś zakuta w pancerz asfaltu wita nasz zwycięski powrót. Pędzimy autem, płytką doliną Saronu, wśród zielonych pól, winnic i pardesów. Mijamy białe kolonie żydowskie, betonowe i schludne, pozostawiamy za sobą nieliczne osiedla beduinów stawiane z trzcinowych mat. Szosa powoli wspina się ku górze i zatacza coraz częściej nagłe wiraże. Za każdym zakrętem otwiera się przed nami wspaniały wachlarz widnokręgu, górzystego, zamykającego w swych stromych granicach biblijne widoki, pełne niewysłowionego piękna. Słońce praży już silnie. Suchy skwar, potop ognia, zwala się na żyzne skiby, przeorane pługami żydowskich chłopów, na ziemię, która jeszcze do niedawna dyszała śmiercionośnymi moczarami, a dziś rozkwita bujną i gęstą zielenią.

Krajobraz szybko zmienia się. Zewsząd otaczają nas góry, opadające łagodnymi zboczami ku dolinom. Spływa na nas zielona i głęboka cisza, ta sama, która kiedyś otulała skronie smukłej Rut, drzemiącej u stóp Boaza na jesiennym ściernisku. Sielankowy krajobraz, o miękkiej tonacji barw, majestatyczny w swym boskim skupieniu, narzuca widzowi historyczne refleksje. Człowiek czuje na sobie dziwny ciężar dziejów tej ziemi, która wierna pozostała swemu narodowi, która pod kolejnym panowaniem Rzymian, Krzyżowców i Turków nie wydawała żadnych plonów, malarią i moskitami raziła zdobywców, a dopiero teraz pod synowską dłonią chaluca bujne owoce poczęła rodzić. Cudowna ziemia! Biblijna ziemia! Wierna ziemia!

Nagle z głębokiej doliny wyskakuje szereg żelaznych słupów elektrycznych. Biegną równe druty nad polami, wsiami, koloniami, miastami, przecinają góry, doliny, wyżyny, kraj cały spowijają w szczelną sieć o wysokim napięciu. Nowa legenda wiernej ziemi: baśń o Rutenbergu. I oto wszystko już zlewa się w harmonijną całość, cisza biblijna z dalekim warkotem motorowych pługów, sielankowy nastrój krajobrazu z melancholią drutów elektrycznych, biegnących w błękitną dal, betonowe domy żydowskich osiedli z królewskim, dumnym, wzniosłym patosem Jerozolimy, wyrastającej przed nami na wysokim szczycie górskim. Ginie ślad wieków. W świadomości naszej powstaje wizja, dziwna wizja historii, scalającej w logiczną, ponadczasową kompozycję — kraj Saulów i Dawidów z krajem Rutenberga.

Wjeżdżamy w ulice Jerozolimy. W hotelu zostawiam podręczną walizkę i wychodzę pospiesznie na miasto. Mijam Jaffa-street. U wylotu ulicy wsiadam do autobusu. Jadę na Uniwersytet Hebrajski. I oto siedząc w autobusie, szybko wspinającym się serpentynową szosą na Górę Scopus — wpatrzony w panoramę miasta, w złote mury, okalające stolicę, zadaję sobie pytanie, dlaczego właśnie pierwsze kroki w Jerozolimie kieruję na Uniwersytet Hebrajski. Uczyniłem to przecież zupełnie nieświadomie! Przyjechałem do Jerozolimy bez z góry ułożonego planu. Dlaczego więc nie udałem się przede wszystkim pod Mur Płaczu, do Starego Miasta, na stary cmentarz żydowski — na groby naszych narodowych pamiątek, mchem wieków obrosłe? Czyżby nie pociągała mnie historia stolicy mojej ojczyzny? Ach! Nie! Zatem jakiż to tajemny instynkt, drzemiący na dnie mej psychiki, pchnął mnie właśnie na Górę Scopus, do wrót żydowskiej nauki, która odnalazła szczęśliwą przystań w białych murach pierwszego Hebrajskiego Uniwersytetu? Nie umiałem sobie tego wytłumaczyć.

Już wjeżdżamy pomiędzy budynki Uczelni. Tam — Biblioteka Narodowa, tu [illegible] gmachy Instytutu Chemicznego, Matematycznego i Fizycznego, opodal domy, w których mieści się administracja Uniwersytetu, tam w głębi ogrody, amfiteatr, skąd rozpościera się widok na pu-

Potrzeba nam Uniwersytetu

BO GENIUSZ ŻYDOWSKI MIEĆ MUSI SWĄ OJCZYZNĘ, A DUCH ŻYDOWSKI SWĄ SIEDZIBĘ, GDZIEBY PRZESZŁOŚĆ NASZA I TERAŹNIEJSZOŚĆ NA NOWO ZBADANE ZOSTAŁY Z PUNKTU WIDZENIA, KTÓRY ZAWDZIĘCZAMY NASZEMU RUCHOWI NARODOWEMU; GDZIEBYŚMY WE WŁASNYM JĘZYKU, BEZ APOLOGETYKI I ZBĘDNYCH UPIĘKSZEŃ, DOSZLI DO UŚWIADOMIENIA PRZEDE WSZYSTKIM SIEBIE SAMYCH, A JEDNOCZEŚNIE WYKULI DUCHOWĄ BROŃ, KTÓRABY NARODOWI ŻYDOWSKIEMU SŁUŻYŁA W WALCE O JEGO DUCHOWY BYT NA ŚWIECIE.

BO NARÓD ŻYDOWSKI, ROZPROSZONY PO CAŁYM ŚWIECIE, PODDANY WE WSZYSTKICH KRAJACH DIASPORY DESTRUKTYWNEMU DZIAŁANIU NIEŻYDOWSKIEGO OTOCZENIA, — MIEĆ MUSI SWÓJ OŚRODEK DUCHOWY.

BO ODŚRODKOWYM SIŁOM, KTÓRE RODZI DIASPORA NASZA, PRZECIWSTAWIĆ MUSIMY SIŁY DOŚRODKOWE, KTÓREBY BYT NASZ UTRZYMAŁY, A JEGO SUBSTANCJĘ WCIĄŻ ODNAWIAŁY.

BO NARÓD ŻYDOWSKI WE WSZYSTKICH KRAJACH MIEĆ MUSI TAKĄ INTELIGENCJĘ, KTÓRABY SPRAWY JEGO PROWADZIŁA, A WYCHOWANA BYŁA W ŚRODOWISKU ŻYDOWSKIM, GDZIE W ŻYWEJ HEBRAJSKIEJ MOWIE PIELĘGNOWANE SĄ TE LUDZKIE I NARODOWE CECHY I ZDOLNOŚCI, KTÓRE NIEZBĘDNE SĄ W SŁUŻBIE DLA NARODU ŻYDOWSKIEGO.

BO UCZONY ŻYDOWSKI WE WSZYSTKICH PRAWIE KRAJACH ROZPROSZENIA NIE MOŻE ZNALEŹĆ ODPOWIEDNIEJ DROGI DLA ROZWOJU SWEJ NAUKI I DLATEGO POZBAWIA NARÓD ŻYDOWSKI PODSTAW PRACY NAUKOWEJ, NA KTÓRYCH DOKONAĆ MOŻNA RZECZY WIELKICH I WZNIOSŁYCH.

BO STUDENT ŻYDOWSKI W WIELU KRAJACH NIE JEST DOPUSZCZANY DO STUDIUM UNIWERSYTECKIEGO. DWIE TRZECIE SŁUCHACZÓW UNIWERSYTETU HEBRAJSKIEGO POCHODZI Z ZAGRANICY.

BO DLA ODBUDOWY PALESTYNY STWORZYĆ MUSIMY OŚRODEK BADAWCZY DLA ROZWIĄZANIA ZADAŃ NAUKOWYCH, KTÓRE NAKŁADA NA NAS NASZE DZIEŁO KOLONIZACYJNE W DZIEDZINIE MEDYCYNY, PRZYRODOZNAWSTWA, TECHNIKI, A TAKŻE W DZIEDZINIE BADAŃ I ROZWOJU JĘZYKA HEBRAJSKIEGO, HISTORII KRAJU, A TAKŻE JĘZYKA, DZIEJÓW I KULTURY NASZEGO SĄSIEDNIEGO NARODU.

BO JISZUW, JEŻELI SPEŁNIĆ MA TE ZADANIA, KTÓRE NAŁOŻYŁO NAŃ ŻYDOSTWO ŚWIATOWE, MIEĆ MUSI STAŁY OŚRODEK NAUKOWO-OŚWIATOWY DLA MŁODZIEŻY SWEJ, DLA SWYCH PRZYSZŁYCH NAUCZYCIELI, DLA TYCH WARSTW OŚWIECONYCH, KTÓRE WE WSZYSTKICH NARODACH SĄ AWANGARDĄ WSZELKICH RUCHÓW KULTURALNYCH, NARODOWYCH I SPOŁECZNYCH.

HUGO BERGMANN
Rektor Uniwersytetu Hebrajskiego

ieście i Góra Scopus

stynię judzką, ku Morzu Martwemu, kudolinie Jordanu i górom Moabu i Amonu.

Z zapartym tchem zwiedzam białe sale uniwersyteckie, gmachy różnych instytutów, z wzruszeniem wchodzę do przestrzennego budynku Biblioteki Narodowej, do sali rękopisów, do lectorium. Wszędzie wre uparta, skupiona, spokojna praca. W sali bibliotecznej studenci pochyleni nad biurkami; urzędnicy sprawnie rozdzielają książki; w dziale rękopisów niestrudzony dr. Abraham Schwadron, strażnik „Winnicy Pańskiej" czuwa nad zbiorami rękopiśmiennymi; na górnych piętrach, w jasnych, cienistych pokojach pracują kierownicy poszczególnych działów Biblioteki. Cisza. Wszędzie — cisza. Wszędzie — praca. Wszędzie — skupienie. W korytarzach, w czytelni, w pokojach, na parterze, na piętrach. W obliczu majestatu hebrajskiej nauki, zaklętej w foliały manuskryptów, w ciężkie szeregi książek, w stosy druków — ludzie suną milcząco, jak gdyby bali się mącić patos tej głębokiej ciszy. Wchodzę do lectorium. Przy szerokich biurkach siedzą studenci. Suchy szelest papieru i skrzyp piór — oto jedyne szmery w tej sali. Woźny uniwersytecki na koniuszkach palców stąpa wśród stołów, jakby płynął w powietrzu. Jakiś student rozmawia z bibliotekarzem. Mówi stłumionym szeptem. A hen, w dali, za oknem, w promieniach południowego słońca, praży się rozległa pustynia Judei — też milcząca, skupiona, dostojna. Obłe garby wydm przecięły jej monotonię. — Gdzieś w głębi horyzontu płynie długi, rozkołysany łańcuch żółtych wielbłądów, ledwo widocznych na tle złotych piasków.

Opuszczam salę biblioteczną w towarzystwie znajomego asystenta - chemika. Wchodzimy na najwyższe piętro Biblioteki, a stamtąd na taras. Jerozolima! Palestyński krajobraz! Dziwnie w nim splatają się z sobą i trwają w doskonałej harmonii — ludzkie dzieje, bohaterskie zmagania, wiary i światopoglądy. Rozbrzmiewają zgodną melodią, jak tony dwóch harf. Prorocy izraelscy i Chrystus, zielone ogrody Getsemani i stary cmentarz żydowski, ukoronowany dłonią Absaloma, groby królów żydowskich i Via Dolorosa! Poza Palestyną wydaje się, że otchłań bez brzegów i dna dzieli stary kościół Marii od Muru Płaczu, że męczeńska Golgota leży co najmniej w odległości kilku tysięcy kilometrów żmudnej drogi od wzgórza bohaterskiego Syjonu. A tu? Spojrzyj z dachu Biblioteki Narodowej na panoramę miasta, hen od Góry Scopus, gdzie ongiś do lotu zrywały się orły rzymskich legionów Tytusa aż po pałac Wysokiego Konusarza, gdzie przed wiekami wznosiły się marmurowe wille rezydencji Piłata — a rychło przekonasz się, że tu w Świętym Mieście rozpływają się bez śladu różnice wiar, że „doliny wznoszą się ku górze, a góry opadają ku dolinom", że ogrodów Getsemani i wzgórza Golgoty, Grobów Proroków i Muru Płaczu nic od siebie nie dzieli. Patrzysz w dół, w miasto, stojące w ogniu promieni słonecznych, i już nie dziwisz się, że tak tu wszystko logicznie się splata, dopełnia i — tuż obok siebie leży. Więc cóż to za uczucie ulgi spojrzeć z dachu Uniwersytetu Hebrajskiego na Grób Chrystusa, a z cienistych alei ogrodów Getsemani na złote mury Hebrajskiej Uczelni i na gigantyczne bloki domów robotników żydowskich. W Jerozolimie nawet dzwony, bijące na Anioł Pański, brzmią po żydowsku, bo tu wszystko jest żydowskie.

Mijają chwile. W dole rozbrzmiewa gong uniwersytecki.

— Zejdźmy — mówi do mnie mój towarzysz — już późno.

Nie mogę jednak oderwać wzroku od panoramy królewskiej stolicy. Więc stoję tutaj, w blasku gorejącego nieba i patrzę z terasy Hebrajskiego Uniwersytetu, wymodlonego przez dwa tysiące lat żydowskiej męki — na miasto, które przez dwa tysiące lat czekało na nasz powrót. Jakżeż symboliczny był dla mnie fakt, że właśnie po raz pierwszy ujrzałem Jerozolimę, w całym jej przepychu, z góry Scopus, z wysokości uczelni, będącej świętym znakiem odrodzenia naszego ducha! Więc pierwsze moje spojrzenie na Jerozolimę nie padło po przez żałobę Muru Płaczu, ani przez las grobów żydowskiego cmentarza, ani po przez mrok lochów, w których spoczywają szczątki hebrajskich królów. Spojrzałem na nią po raz pierwszy z perspektywy — hebrajskiej Biblioteki Narodowej!

— Proszę cię, wytłumacz mi dlaczego natychmiast po przybyciu do Jerozolimy, pierwsze kroki skierowałem na Uniwersytet Hebrajski. Uczyniłem to zupełnie nieświadomie... Powiedz... Dlaczego? — zagadnąłem wzruszony mojego znajomego.

Mój towarzysz uśmiechnął się:

— To jest zew krwi. Przed dwoma tysiącami lat, Hebrajczyk, przybywający do Jerozolimy, szedł przede wszystkim do Świątyni... Do niej kierował pierwsze kroki. Instynkt w narodzie nigdy nie zamiera... Ulega tylko chwilowemu przytłumieniu... Więc i ty dziś, przybywszy do Jerozolimy, odwiedziłeś przede wszystkim Górę Scopus... naszą Świątynię... To jasne... Nieprawdaż?

Wypowiedział to głosem spokojnym, równym, jakby recytował jakąś formułę chemiczną.

Tak, to jest jasne, miły przyjacielu!

NA KRAKOWSKIM PRZEDMIEŚCIU I NA GÓRZE SCOPUS

My Żydzi zawsze z największym oburzeniem patrzymy na ekscesy, godzące — w wolność nauki. Dla nas bowiem pojęcie nauki zrosło się niepodzielnie z pojęciem godności narodowej i osobistej. Według Talmudu nawet poganin, zajmujący się nauką, równy jest arcykapłanowi. Ten demokratyczny światopogląd, którego miernikiem jest szlachectwo wiedzy — wycisnął swój znamienny ślad na całych naszych dziejach i był niejednokrotnie źródłem naszej tragedii narodowej. Więc wolność nauki jest dla nas — jak to już pisaliśmy przed dwoma laty z okazji dziesięciolecia Uniwersytetu Hebrajskiego — probierzem, którym zwykliśmy mierzyć dostojność i wielkość każdego narodu. Wolność owa opromienia narody chwałą nieśmiertelną, lecz ciosy, zadawane tej wolności, godzą w dobre imię narodu, w jego posłannictwo historyczne i w jego autorytet.

Nie ma takiej siły, któraby zmusiła studenta Żyda do rezygnacji z jego praw uniwersyteckich. Twarda, nieustępliwa walka o równouprawnienie obywatelskie — i na tym odcinku musi być prowadzona z uporem i energią. Od straganu biednego małomiasteczkowego Żyda po ławki uniwersyteckie biegnie linia frontowa, wbrew naszej woli narzucona nam przez tych, którzy zbyt często moralność identyfikują z zakłamaniem, a kulturę z fizyczną przemocą. Z tych praw ani na krok nie ustąpimy. Trwać będziemy na naszych placówkach, zawarowanych nam przez prawo pisane i przez święte prawo człowieczeństwa.

Takie jest już nasze wielkie przeznaczenie dziejowe, że z naszym losem zrośnięta jest idea demokracji, postępu i wolności. W tych straganach żydowskich i w tych „ławkach żydowskich" tkwi chyba najtragiczniejszy symbol walki o prestiż polskiej kultury, o silnie scementowany porządek społeczny, o cnotę narodową, sięgającą korzeniami w zdrowe i etyczne poglebie.

„Wyznanie win jest niemniej potrzebne narodom — pisał Władysław Mickiewicz — jak jednostkom do ich poniesienia i moralnego postępu. U jednych i drugich spowiedzi powinien towarzyszyć żal za winy i poprawa. Jedną zaś z najpewniejszych oznak żalu jakiegoś narodu i jego chęci naprawienia dawnych niesprawiedliwości, jest jego stosunek, w jakim staje wobec Izroela. Ojciec mój, wpisawszy 29 marca do swego Symbolu (Składu zasad) prawa Izraela, uczuł się zadowolonym, dowiedziawszy się, że król Albert w obozie Voghera ogłosił równouprawnienie Żydów w swym państwie, 28 marca lud zburzył mury otaczające ghetto w Ferrarze. Wieczorem 17 kwietnia w Rzymie, właśnie gdy Żydzi obchodzili Wielkanoc (Paschę) lud rzymski na rozkaz Piusa IX zburzył też mury ghetta, a na ruinach odwiecznego przedziału uściskano się nawzajem".

Więc wierzymy w własną siłę przetrwania i czekamy na polski — Rzym. Ból tylko ściska serca, gdy patrzymy na tę tragiczną walkę naszej młodzieży, która w zdrowej atmosferze i wśród dogodnych dla siebie warunków duchowych, umiałaby wydobyć z siebie najpiękniejsze blaski talentów i patos prawdziwego poświęcenia. Dowodem ofiarności i szlachetności studentów żydowskich, studiujących w Palestynie wśród zdrowych warunków duchowych i życiowych — jest ich stanowisko w czasie ostatnich rozruchów arabskich. Szli oni z karabinem w dłoni na najbardziej eksponowane stanowiska, zaciągali się do pomocniczej policji, bronili swej ziemi ojczystej, gromada karna, opanowana, zdecydowana na wszystko — na śmierć pod gradem kul i na mozół i trud wielki. Lecz ani razu nie pozwolili się sprowokować, ani razu nie zaatakowali pierwsi wroga, ani razu nie splamili swoich rąk mordem i krwią niewinną — wychowankowie pierwszego Uniwersytetu Hebrajskiego, wzór cnoty narodowej, poświęcenia i odwagi! Pięciu z nich poległo pod kulami arabskimi! Chwała tej krwi rozlanej, tym kościom białym, tym popiołom dostojnych męczenników, tym błogosławionym Żydom! Błogosławiona niech będzie ta krew młoda, błogosławione niech będą łzy matek, błogosławiony niech będzie cichy smutek ojców, albowiem z tej krwi i z tych łez i z tego smutku Żydowski Dom Narodowy powstanie!

Panie Rektorze! Dziś, w chwili Pańskiego przyjazdu do Warszawy, witamy w Panu nie tylko oficjalnego zwierzchnika pierwszej naszej Uczelni, lecz także wychowawcę tej młodzieży, która okazała światu, że w czasie pokoju umie oddawać się pilnej pracy naukowej, a w chwilach groźnych umie być dzielną awangardą swego narodu, budzącego się do nowego życia! Panie Rektorze, witamy w Panu symbol wolności, demokracji i etyki hebrajskiej Nauki, kultywowanej w murach naszego Uniwersytetu!

Prof. dr. Hugo Bergmann i dyr. Alfred Berger

Dwukrotnie z kolei wybrany pierwszy rektor Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, Prof. Dr. Hugo **Bergmann,** należy do najwybitniejszych postaci syjonizmu zachodnio - europejskiego. Urodził się w Pradze Czeskiej w roku 1883. Jeszcze jako student przystąpił do ruchu syjonistycznego, gdzie znalazł się pod wpływami teorii Achad-Haama i Martina Bubera o syjonizmie duchowym. Nawiązał wówczas kontakt ideowy i przyjacielski z pisarzami Robertem Weltschem, Hansem Kohnem, Maxem Brodem i Franzem Werflem. Jeszcze jako młody człowiek opublikował Bergmann szereg artykułów syjonistycznych, które ukazały się w roku. 1919 w formie książkowej p. t. „Jabneh i Jerozolima", stanowiąc jedno z podstawowych dzieł wychowawczych dla młodego pokolenia żydowskiego w Europie Zachodniej. Pogląd syjonistyczny Bergmanna jest ściśle związany z jego religijno - filozoficznym ujęciem judaizmu, któremu dał wyraz w wielu pracach, jak wstęp do książki „Diwrej Moszeh" (Monachium 1919), artykuł „Kiddusz Haszem" (opublikowany w almanachu „Von Judentum", Lipsk 1913) i in. Jednocześnie oddawał się Dr. Bergmann swej właściwej dziedzinie , filozofii, której poświęcił niemal całą swą działalność naukową. W owym okresie opublikował on wiele dzieł, jak: „Dzieła filozoficzne Bernarda Bolzano" (1909), „Nieskończoność i liczba" (1913), „Przyczynowość w historii" (1913) i in.

W latach wojny (1914—1918) służył Dr. Bergmann jako kapitan w wojsku austriackim, w 10 pułku piechoty z Przemyśla. Po wojnie był członkiem delegacji żydostwa czechosłowackiego, która reprezentowała dezyderaty żydowskie na konferencji pokojowej. W roku 1919 powierzono mu prowadzenie Departamentu Kultury przy Organizacji Syjonistycznej w Londynie. W roku 1920 Dr. Bergmann osiadł w Jerozolimie, obejmując kierownictwo Biblioteki Narodowej, gdzie miał możność wyzyskania swego doświadczenia i swych wiadomości fachowych jako długoletni kustosz Biblioteki Uniwersyteckiej w Pradze Czeskiej. Jako dyrektor Biblioteki Narodowej Dr. Bergmann założył i redagował jedyne hebrajskie czasopismo bibliograficzne „Kirjath Sefer", do dziś istniejące. Wraz z nominacją Prof. Bergmana na profesora filozofii nowożytnej w Uniwersytecie Hebrajskim rozpoczyna się najpłodniejszy okres jego działalności naukowej. Prof. Bergmann publikuje wówczas dzieła filozoficzne i literackie, większość w języku hebrajskim. Z pośród najważniejszych dzieł na wymienienie zasługują: „Walka o prawo przyczynowości w nowej fizyce" (1927), „Emanuel Kant" (1927), „Filozofia Salomona Majmona" (1932), „Myśliciele naszego pokolenia" (1935). Pozatem opublikował Prof. Bergmann artykuły aktualne w prasie palestyńskiej oraz liczne prace naukowe w fachowej prasie zagranicznej.

Zarówno w naukowej twórczości Prof. Bergmanna jak i w jego działalności narodowo-społecznej, odzwierciedlają się nie tylko jego poglądy, ale i jego sylwetka moralna, jego głęboka wiara w naród żydowski i nieustanne poszukiwanie prawdy. Tym się też tłumaczy sympatia i poważanie, z jakim odnoszą się doń wszystkie sfery jiszuwu palestyńskiego. Gdy Senat Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie zebrał się w roku 1935, aby wybrać pierwszego rektora Uniwersytetu, wybór padł na Prof. Bergmanna, a gdy w roku 1936 Senat stanął przed następnym wyborem Rektora, znów na to zaszczytne stanowisko wybrany został Prof. Bergmann.

*

Wraz z rektorem Bergmannem przyjeżdża do Polski — p. Alfred Berger, szef Biura Propagandy Uniwersytetu Hebrajskiego.

P. Alfred Berger urodził się w roku 1890 w Nadrenii, w Niemczech. Pochodząc ze starej, tradycyjnej rodziny niemiecko-żydowskiej, która zamieszkiwała w ciągu 250 lat ten sam dom, tzw. „Judenhuas", odziedziczył Berger od najmłodszych lat miłość i przywiązanie do idei narodowej. W Kolonii, gdzie uczęszczał do gimnazjum, podlegał on wpływom czynnych tam wówczas działaczy syjonistycznych: Dawida Wolfsohna, Bodenheimera, Dr. Feiwla i Sokołowa. Duży wpływ na ukształtowanie jego poglądów syjonistycznych mieli w czasie jego pobytu w Berlinie: Prof. Warburg, przywódca syjonistów rosyjskich Czlenow, a przede wszystkim głosiciele haseł syjonistyczno - społecznych Martin Buber i Gustaw Landauer. Szczególny wpływ wywarł na Bergera jego szwagier Fritz Kaufmann, który jako redaktor czasopisma „Freistaat", kolekcjoner zabytków folkloru żydowskiego i tłumacz dzieł Mendełe Mojcher-Sforim, wykazywał jako Żyd niemiecki wyjątkowe zainteresowanie i zrozumienie dla żydostwa wschodniego i jego twórczości kulturalnej. W czasie wojny światowej styka się p. Berger z żydostwem wschodnim i interesuje się żywo losem licznych uciekinierów żydowskich z wschodnich terenów wojny. Szczególnie wydatna jest jego działalność w latach 1919—1924, kiedy to porzuca on zawód kupiecki i poświęca się całkowicie pracy społecznej. Wraz z Fritzem Kaufmannem i Drem Senatorem zakłada on Biuro Pośrednictwa Pracy przy organizacji Żydów w Niemczech.

W r. 1924 p. Berger objął centralne kierownictwo niemieckiego „Keren-Hajesodu". Od roku 1920 do 1933 był p. Berger jednym z dwóch wiceprzewodniczących Organizacji Syjonistycznej w Niemczech, a jednocześnie zajmował kierownicze stanowisko w Centrali Żydowskiej Opieki Społecznej. W roku 1923 został p. Berger wybrany jako przedstawiciel syjonistów do Gminy Berlińskiej, gdzie pracował do opuszczenia Niemiec. Brał udział we wszystkich kongresach syjonistycznych, był członkiem-zastępcą w Aktions-Komittee, i brał udział w ogólno-żydowskich konferencjach ratunkowych w Karlsbadzie i Pradze.

P. Berger zajmował się również pracą publicystyczno-naukową. Wydając broszurę „Żydzi wschodni w Niemczech", poświęconą zagadnieniu wschodnich uciekinierów w Niemczech, pracował w dziedzinie folkloru żydowskiego i opublikował wiele artykułów w „Judische Rundschau" i innych czasopismach oraz współpracował w leksykonie żydowsko-niemieckim. Po przewrocie politycznym w Niemczech, p. Berger musiał opuścić Niemcy. W roku 1933 osiadł w Palestynie, gdzie został wybrany do kierownictwa „Organizacji Imigrantów Niemieckich" (Histadrut Olej Germanjah"). W roku 1936, gdy Dr Kurt Blumenfeld objął kierownictwo „Keren Hajesodu", został p. Berger zaproszony przez Uniwersytet Hebrajski na stanowisko szefa Biura Organizacji i Informacji w Uniwersytecie.

Karola Kaufmann

Lord Melchett o syjonizmie

„Thy Neighbour" (Twój sąsiad) — oto tytuł książki lorda Melchetta (juniora), która ukazała się ostatnio w Londynie nakładem wydawnictwa Fryderyka Müllera. Książka ta zasługuje na największą uwagę czytającej publiczności już nie tylko ze względu na osobę autora, syna wielkiego Żyda i patrioty angielskiego, Alfreda Monda (pierwszego lorda Melchett), ale również, i to nie w mniejszej mierze, ze względu na treść.

Wstęp poświęcony jest opisowi sytuacji Żydów niemieckich, którzy od r. 1933 pozbawieni zostali „swoich sąsiadów". Ten materiał informacyjny, tak dobrze znany każdemu Żydowi, jest raczej przeznaczony dla czytelników nie-żydowskich. Wydaje się też nam, że zamiast fotografii, ilustrującej sytuację Żydów w Niemczech, odpowiedniej może byłoby umieścić na papierowej okładce zewnętrznej reprodukcję obrazu Hirszenberga: „Żydzi na tułaczce".

Ale to są sprawy podrzędne. Rzeczą ważną w książce Melchetta jest jasne opracowanie przyczyn nędzy i niedoli żydowskiej na całym świecie, ale jeszcze donioślejsze są projekty autora, których celem ma być usunięcie tych anomalii.

Opisując rozpaczliwą sytuację Żydów w Niemczech, autor wskazuję, że dzięki ogromowi zawartego w niej tragizmu, pogromy w innych krajach skupień żydowskich, nie znalazły w świecie oddźwięku, na który zasługiwały. W związku z tym opisane są współczesne stosunki w Austrii, Rumunii i na Bałkanach.

W rozdziale „Od Abrahama do Disraeli'ego" znajdujemy krótki syntetyczny rzut oka na historię Żydów w okresie Średniowiecza. Przypomina się oświadczenie zwołanego przez Napoleona w r. 1807 Synhedrionu, że Żydzi nie są „une nation dans la nation". Rozdział zakończony jest powołaniem się na zasługi wybitnych Żydów angielskich, jak Disraeli, Reading, Montague, Herbert Samuel, Ernst Cassel oraz ojciec autora, zasługi, którym Wielka Brytania zawdzięcza rozkwit swojej potęgi.

Teza Disraeliego, że niemożliwością jest wyniszczenie Żydów, prowadzi do syjonizmu „albowiem we wszystkich czasach i we wszystkich krajach — idea powrotu do Palestyny była naczelnym motywem myśli żydowskiej".

Obszernie są omówione pierwsze kongresy syjonistyczne i Program Bazylejski. Melchett podnosi mężne wystąpienie młodego jeszcze Chaima Weizmana w obronie idei „naród Izraela w Ziemi Izraela", a jego opozycja wobec projektu Ugandy jest opisana niezmiernie dramatycznie.

Jeszcze ciekawsze są ustępy, poświęcone pierwszemu spotkaniu profesora chemii Weizmaną z lordem Balfourem, gdy ten ostatni w r. 1906 przybył do Manchesteru dla wygłoszenia mowy wyborczej. A potem autor wspomina wynalazek chemiczny dra Weizmana, który w r. 1914 umożliwił Anglii kontynuowanie wojny mimo blokady, stosowanej przez niemieckie łodzie podwodne .

Czytając atrakcyjny ustęp, poświęcony osobistym odwiedzinom premiera Lloyd George'a w laboratorium oddanego Żyda i syjonisty, Weizmanna, celem złożenia mu podziękowań w imieniu Anglii — widzimy wizję skromnego grobu na bazylejskim cmentarzu, w którym spoczywa wygnany w r. 1933 z Niemiec, prof. Haber; jego wynalazek chemiczny z tegoż okresu wojny światowej, miał ogromne znaczenie dla Niemiec.

Na pytanie Lloyd George'a, co może dlań uczynić, Weizmann odpowiedział: „Dla mnie nic — ale wielką rzecz dla mojego narodu". I oto w r. 1917 znowu spotykają się ze sobą Weizmann i Balfour, a rezultatem jest Deklaracja Baloura.

Po jej ogłoszeniu Weizmann w otoczeniu swych syjonistycznych przyjaciół wyrusza do Palestyny. Kładzie się wówczas kamień węgielny pod gmach Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie. Dowódca angielski, lord Allenby, przyznaje, że fakt ten wywarł bardzo silny wpływ moralny na jego wojsko.

Autor wspomina o b. p. Dizenhoffie i otrzymaniu przezeń na krótko przed śmiercią jednego z najważniejszych orderów angielskich. Uznaje znaczenie języka hebrajskiego dla Palestyny, jako żywego języka, cytuje znamienne liczby, ilustrujące eksport i import handlowy Palestyny. Wreszcie wykazuje, że syjonizm spłacił Anglii koszta wybudowanych przez lorda Allenby, kolei żelaznych.

Między rokiem 1922 a 1935 Palestyna nabyła towarów angielskich za przeszło 20,000,000 Ł, sprzedając Anglii tylko za 12,000,000 Ł.

Legendarnego przyjaciela Arabów, płk. Lawrence'a przedstawia autor jako człowieka, ustosunkowanego pozytywnie do syjonizmu. W rozdziale „Syjonizm a imperium brytyjskie" Melchett wykazuje korzyści, które syjonizm przynosi polityce angielskiej. Powołując się na analogię repatriacji Greków z Małej Azji do ich ojczyzny, autor wysuwa godne uwagi projekty masowej imigracji palestyńskiej Żydów. W związku z tym lord Melchett zaleca założenia żydowskiego Clearing-Banku i przedstawia odpowiednie projekty realizacji tej myśli. Autor z naciskiem wskazuje na znaczenie Palestyny, jako strategicznego punktu oparcia dla Anglii oraz z punktu widzenia interesów handlowych. Żąda połączenia Palestyny z Transjordanią i ostrzega Anglię przed niebezpieczeństwami, związanymi z osłabieniem tempa i rozmiarów imigracji.

Palestynę określa jako punkt węzłowy Bliskiego Wschodu, wykazując przy pomocy liczb, jak bardzo imigracja żydowska wpływa na wzrost znaczenia tego kraju. Ale nie tylko siedmiomilionowa nadwyżka roczna w budżecie Palestyny przemawia na korzyść żydowskiej działalności kolonizacyjnej: także podniesienie poziomu kulturalnego przez budowę szkół, szpitali i innych instytucji socjalnych.

Melchett dochodzi do wniosku, że Palestyna jest zdolna wyżywić od 3 do 6 milionów ludzi. Porównanie budżetu Palestyny (7 milionów Ł nadwyżki obecnie — 120,000 Ł deficytu przed imigracją żydowską) z budżetem Transjordanii (obecnie deficyt 60,000Ł) podkreśla jeszcze raz konieczność połączenia obu terytoriów.

Jeśli generał Smuts nazywa Deklarację Balfoura, jednym z największych przyrzeczeń historii świata, to należy przypomnieć, że Żyd Disraeli uczynił z Anglii obecne imperium.

W związku z rozruchami arabskimi w ubiegłym roku, autor wskazuje na wszystkie korzyści, które Arabowie osiągnęli, sprzedając ziemię Żydom. Wskazuje też na krzywdę, która dzieje się Żydom wskutek błędnej interpretacji Mandatu i ograniczeń w udzielaniu certifikatów.

Książka kończy się formułowaniem zasadniczych postulatów syjonistycznych na przyszłość:

1) Całkowite równouprawnienie polityczne Żydów i Arabów.

2) Zarezerwowanie odpowiedniej części gruntów dla Arabów tak w Palestynie jak i w Transjordanii.

3) Żydowska samoobrona militarna.

4) Port dla Tel-Awiwu.

Po urzeczywistnieniu wszystkich tych planów — sądzi autor — ogłoszenie Palestyny angielskim dominium nie znajdowałoby się poza granicami możliwości.

W książce lorda Melchetta należy szczególnie podnieść głęboką znajomość materiału oraz argumentację, pod względem psychologicznym bardzo trafną. Należy spodziewać się, że argumentacja ta nie pozostanie bez wpływu na angielską opinię publiczną, a w szczególności na zdanie tych czynników w Anglii, które w sprawach palestyńskich mają głos decydujący.

LION FEUCHTWANGER

FAŁSZYWY NERON

POWIEŚĆ

5)

Varro wyprężył się w łóżku i znów się skulił. Myślał o tym, jak przed jedenastu laty ci Flawiuszowie usiłowali usunąć go. Ponieważ razu pewnego w domu publicznym „Pod Pawiem" poza wielkim cyrkiem, będąc pijanym, wystroił jedną z dziewek w purpurę i wysoki trzewik senatorski, cesarz Wespazjan zadekretował, że nie jest godny należenia dłużej do senatu. Głupi i ironiczny pretekst był dowcipem zawsze do ciężkich żartów skorego prostackiego Wespazjana. No, ci Flawiusze, zmarły Wespazjan i syn jego Tytus musieli nie jednym płacić za ów żart. Odczuli w międzyczasie ci panowie, że sprytny człowiek może czasami wiecej dokonać z Edessy, niż z Rzymu. Teraz oto przysłali mu kretyna, Straszaka, aby zniszczył subtelną strukturę jego polityki wschodniej. No, Straszak może się teraz spodziewać wszystkiego. Kiedy jego Nero uznany zostanie w Mezopotamii, Straszak zrozumie, że mądrzejby było może nie wymuszać na starym Varronie owych sześciu tysięcy. Straszak będzie musiał przyznać, że na tym Wschodzie za pomocą „energicznych kroków" i rzymskiej dyscypliny" nic się zrobić nie da, że lepiej jest pójść za starym Varronem drogą porozumienia.

Ale o czymże on myśli? Czyż chodzi o Straszaka? Nie jego, lecz ten cały arogancki, nowy, głupi Rzym chce dotknąć, wyczarowując starego Nerona, którego nawet wspomnienie jest dla nich nie do zniesienia.

W tej chwili we wspomnieniu wypłynęła przed nim twarz Terencjusza. Dziwnym zbiegiem okoliczności przez cały ten czas nie myślał o nim wcale. Przypomniał sobie, jak ten człowiek zbliżył się do niego, całkiem zmieniony, krokiem Nerona i jak powiedział doń niezapomnianym, niedbale dumnym tonem Nerona: „Czemuż nie miałbym ci przebaczyć, mój Varronie?" I znów opanowało go uczucie niesamowitości, jakiego doznał wówczas, kiedy w tym mizernym drobnomieszczaninie objawił się nagle Nero. Przyszło mu na myśl, że sam Nero z pewnością bawiłby się figlem, jaki splatać chce jego wrogowi, Tytusowi, tym wskrzeszonym Neronem, i wówczas uczucie niepokoju pierzchło.

Przeciągnął się po raz ostatni, uspokojony. Zawezwał swego sekretarza. Dał mu wskazówki co do omówienia spotkania z królem Mallukhem i arcykapłanem Szarbilem.

WSCHODNI KRÓL.

Król Mallukh przyjął Varrona i arcykapłana Szarbila w obszernej, po arabsku urządzonej, komnacie, gdzie najchętniej zbierał swą radę. Dywany pokrywały ściany, fontanna szemrała, siedziano na niskich, miękkich poduszkach. Zarówno żywy Varro, jak i ruchliwy, stary arcykapłan Szarbil musieli zdobyć się na wysiłek, aby zachować się zgodnie i spokojnie. Wiedzieli jednak, że król Mallukh najchętniej siedziałby an ziemi ze skrzyżowanymi nogami, według zwyczaju swego ludu, nasłuchując szmerów powoli pluskającej fontanny, przerywając pytania i odpowiedzi znacznie dłuższymi jeszcze, kontemplacyjnymi pauzami. Już po raz trzeci wywoływacz podnosił dywan i oznajmiał godzinę, a jeszcze nie dotarto do właściwej kwestii.

„Szkoda, — wywiódł przed chwilą arcykapłan Szarbil, — że państwo Partów wskutek sporów dynastycznych zostało osłabione. Póki część wojsk króla Artabana związana jest walką z pretendentem, Rzym będzie nam dawał odczuć, że poza nami nie stoi żadna wielka, gotowa poprzeć nas, potęga".

Varro spojrzał badawczo na króla Mallukha. Piękny mężczyzna o brunatnych słodkich oczach, garbatym, mięsistym nosie i starannie utrefionej brodzie siedział zupełnie bez ruchu, jak posąg, duży, trochę tęgawy, i nikt nie wiedział, czy pochwycił słowa arcykapłana. Może marzył, jak zresztą czynił częstokroć. Od trzechset lat panowali arabscy książęta nad miastem Edessą, obeznani byli z grecko-rzymską i partyjską kulturą, serce jednak króla Mallukha, a wiedzieli o tym wszyscy, pozostało arabskie. Nie lubił spraw, związanych z rządzeniem, bardziej już — swą armię, jeszcze więcej swe żony, więcej od nich — swe konie, najbardziej jednak kochał daleką pustynię. Czasem wyjeżdżał z nie wielką eskortą daleko na południowe pustkowie. W najgłębszej swej głębi był zapewne człowiekiem z plemienia jeźdźców, dla których poniżeniem było uprawianie ziemi, budowanie chaty lub prowadzenie osiadłego żywota: gdyż kto poddaje się takim wygodom, musi, o ile nie chce, aby mu je odebrano, znosić pana nad sobą i traci w ten sposób swą wolność. Wolność zaś jest największym dobrem Araba, ponieważ jednak wolność istnieje tylko tam, gdzie istnieje samotność, pustynia jest jego ojczyzną.

Któż mógł zatem wiedzieć, czy król Mallukh, siedzący nieruchomo z królewską opaską, matowo przebłyskującą poprzez włosy, nie myśli raczej o swej pustyni, lub o swych kobietach i koniach, niż o kwestiach politycznych, którymi zarówno Varro, jak i arcykapłan Szarbil, starali się go zainteresować? Okazało się jednak, że słuchał uważnie. Po stosownej przerwie otworzył bowiem usta, bardzo czerwone w otoku kunsztownej czarnej brody, i pięknym głębokim głosem rzekł: „Bóg gwiazd, Dusaris wysłał strzały rozterki na Wschód. Dla tego waśń panuje w domu Partów i dla tego książe Pakor jest tak butny i nie uznaje króla swego, Artabana."

Uradowany z tego, że Mallukh przysłuchuje się ich słowom, Varro ośmielił się pójść dalej: „Nie jeden, — rzekł, — smuci się może, że wschodnie gwiazdy nie stoją również w znaku waśni. Nie jeden uważałby może za rzecz mądrą, gdyby również w państwie rzymskim powstał ktoś i rzekł, że nie uznaje roszczeń Tytusa, siedzącego dziś na Palatynie."

Ani jeden muskuł nie drgnął na smagłej twarzy pod królewską opaską. Arcykapłan Szarbil natomiast szybkim ruchem zwrócił ku Varronowi swą bardzo już starą, pozbawioną prawie ciała, przebiegłą, ptasią głowę, ale i on milczał. Mimo to milczenie Varro wiedział dobrze, co dzieje się w głowach tych obu mężczyzn. Obaj nienawidzą Rzymian, obaj z radością powitaliby wzrastające na drodze cesarza trudności. Mallukh, Arab, namiętny przyjaciel wolności, mimo kamienną obojętność, gorzko cierpi nad swą zawisłością, w którą wciągają go co raz mocniej Rzymianie. Szarbil, przebiegły, drwiący Syryjczyk, kapłan prastarego kulturalnego ludu, pogardza młodymi, barbarzyńskimi ludami Zachodu, wyciągającymi zuchwałe prostackie ręce po jego kraj. Varro może pozwolić sobie na to, aby posunąć się dalej jeszcze; obaj muszą przyjąć jego propozycję, jak wyschłe stepy — deszcz.

„Może, — zaczął więc, — rzeczywiście istnieje ktoś taki, który żywi podobne roszczenia. Może gwiazdy dodają również, że ten, kto owe roszczenia żywi, wystąpi w krótce."

Z oczekiwaniem patrzał na Szarbila, pewny będąc, że mądry arcykapłan zrozumie go dokładnie, bez dalszych wyjaśnień. Szarbil, Syryjczyk, Aramejczyk z całego cerca, gorąco tęsknić musi za tym Neronem, który prastarą, przedziwną, syryjską kulturę, najstarszą na świecie, wspierał z tak wielką dbałością. Poza tym Szarbil jest chciwy, te zaś zuchwałe chwyty, jakimi Rzymianie sięgali po skarby jego świątyni, szarpały mu wnętrzności.

Jednak Szarbil nie czynił żadnych przygotowań do odpowiedzi. Szpiczasty kapelusz kapłański wydawał się być zrośnięty z żółtym, pergamino suchym, zmarszczonym czołem, pomalowana na czarno szpiczasta broda zwisała martwo u wyschłych warg i pozłacanych zębów. Mrugał pomarszczonymi powiekami. Wreszcie po męczącym milczeniu zaczął chwiać głową, wysunął ją ku przodowi zaszczekał swym wysokm, złośliwym, starczym głosem: „A jeśli człowiek, który owe roszczenia żywi, jest oszustem?"

Zanim Varro zdołał odpowiedzieć, król Maluukh — kiedy wywoływacz po raz czwarty obwieścił godzinę — rozkazał podać wino i słodycze; wydawało mu się zapewne rzeczą niewłaściwą mówić bez przerwy o polityce, podczas zaś ceremonialnego popijania i kosztowania, zaczął opowiadać o polowaniu. Skończywszy opowiadanie, wrócił równie nagle do politycznej rozmowy. „Czy kuzyn mój i pan Varro może mi powiedzieć, — spytał, — jakie byłyby następstwa, gdyby człowiek, który żywić chce te roszczenia, nie był oszustem?" „O tym, — odparł senator, — może Jego Mości oddany sługa Varro równie dokładnie, jak i pokornie, udzielić wyjaśnień. Wówczas wszystkie etykiety, które Rzym od pozornej śmierci cesarza Nerona wydał. byłyby nieważne, ważne zaś te jedynie umowy, które powstały, zanim cesarz Nero pogrążył się w toń i znikł". Teraz wschodni król i wschodni arcykapłan w milczeniu patrzyli tak długo prosto w oczy Rzymianina, aż on, chociaż przyzwyczajony do wschodnich zwyczajów, poczuł się nieswojo. „Ten mały pan, — rzekł wreszcie Szarbil jasnym starczym głosem, — którego Rzym przysłał do Antiochii, jest uparty, jak kozioł górski. Prawdopodobnie nie będzie chciał ścierpieć współzawodnika Palatynu, niezależnie od tego, czy miałby on za sobą prawo, czy też byłby oszustem".

Nic nie powiedział więcej, również król Mallukh nie miał nic więcej do powiedzenia. Varro jednak wiedział, że nie potrzebuje obu im tłumaczyć, ile korzyści przyniesie Edessie owo pojawienie się rzymskiego pretendenta ,kim kolwiek by on był, gdyby tylko potrafił przez jakiś czas się utrzymać. Możnaby od takiego pretendenta za cenę jego uznania zażądać różnorakich przywilejów, możnaby żądać wysokiej ceny od Rzymu za to, że się go nie uznało. Ponieważ te korzystne możliwości były całkiem jasne, zbędne było mówić o nich.

Rozmowa wróciła więc znów do sporów dynastycznych w państwie Partów. Z obu pretendentów Artaban był silniejszy, bardziej uzdolniony i potrafił na zachodzie królestwa Partów, tam, gdzie graniczy ono z Mezopotamią, stłumić wszelki opór. Byłoby szaleństwem popierać tego drugiego, Pakora, chociaż posiada on znacznie więcej praw, więcej królewskości, więcej wrodzonego majestatu.

Sprawą dla Edessy bardzo ważną było, którego z dwuch partyjskich pretendentów uzna rząd rzymski. Umowy handlowe Rzymu z królestwem Partów dobiegają końca, to też gubernator w Antiochii będzie się musiał szybko zdecydować na to, z kim chce traktować o ich odnowieniu, z Pakorem, czy z Artabanem. Nie byłoby przyjemne dla Edessy, gdyby Rzym uznał Pakora, nie zaś Artabana, potężnego i lubianego sąsiada Edessy. O tych kwestiach mówiono spokojnymi, kwiecistymi zdaniami, póki wywoływacz nie oznajmił piątej godziny. Wówczas król Mallukh dał znak, że uważa audiencję za skończoną.

Zanim Varro odszedł, arcykapłan Szarbil zreasumował swoje poglądy, będące z pewnością również poglądami króla: „Jeżeli Rzym uzna naszego Artabana, to nie będziemy mieli powodów do wątpienia o prawowitości Tytusa. Jeżeli jednak wypowie się za Parkorem, a przeciw naszemu Artabanowi, pojawienie się cesarza Nerona byłoby wówczas dla Edessy wielką radością". Wypowiedział się zaś w tak niezwykły dla Wschodu krótki, jasny i zwięzły sposób tylko dla tego, że był już bardzo stary i nie wiele pozostawało mu czasu.

9.

RADA I DECYZJA

Bezpośrednio po tej rozmowie Varro opuścił miasto Edessę. Terencjusza nie zaprosił już więcej do siebie.

Powrócił do Antiochii. Zabrał ze sobą skrzynkę, zawierającą tak drogie dlań dokumenty. O ile jednak po tamtej stronie Eufratu pokazywał wszystkim pokwitowanie za zapłacony podatek inspekcyjny, to w Antiochii zdawało się, że całkowicie zapomniał o upokorzeniu, jakiego doznał ze strony Straszaka. Nie zajmował się ani interesami ani polityką, lecz zanurzył się w rozpuście tego wielkiego nieokiełznanego masta. Czas spędzał w eleganckiej podmiejskiej okolicy Daphne, gdzie w luksusowych willach zamieszkiwały najdroższe kurtyzany Azji, w owych miejscowościach, do których mieszczanie całego świata tęsknią w swych grzesznych snach.

Córka Varrona, surowa i biała Marcja, wstydziła się swego ojca, którego kochała i podziwiała.

W rzadkich wypadkach, kiedy stykał się z Ceionem, odgrywał niewinną rolę szkolnego kolegi, współczującego swemu staremu przyjacielowi, opętanemu przez „ideę fixe" zdzierania sił na trudnym posterunku, podczas gdy on sam raz jeszcze — zanim się ostatecznie zestarzeje — używa pełną piersią życia. Historii podatku inspekcyjnego zdawał się Ceionowi nie pamiętać. Sam wspomniał w rozmowie o tym, że wniósł skargę do Rzymu. Uczynił to zaś dlatego, oświadczył swobodnie, gdyż w przeciwnym wypadku straciłby cały autorytet u swych wschodnich przyjaciół. To jednakże całkowicie wyczerpywało dlań sprawę. Walka o sześć tysięcy sestercyj nie godna jest mężczyzny, który przeżył już lat pięćdziesiąt jeden, wielu rzeczy zaniedbał, ale nie jedno jeszcze ma przed sobą.

Ceion nie bardzo ufał tej naiwności. Sam żałował czasami, że posunął się tak daleko; jednakże — mówił sobie — jeśli nie teraz, to musiałby, później pokazać temu przez Wschód zdemoralizowanemu Varronowi, co to jest rzymski gubernator. Mimo to jednak nie mógł się pozbyć uczucia niepokoju w stosunku do Varrona. Opowiadano mu, że senator, mimo swe rozwiązłe życie, potrafi znaleźć czas na przeprowadzanie wielkich handlowych tranzakcyj i, wyzyskując koniunkturę, zbyć korzystnie wielkie połaci swego syryskiego majątku. Ceion nie mógł odmówić tajemnego podziwu temu człowiekowi, który swe siły trwonił w bezsennym użyciu i jednocześnie prowadził z całym rozsądkiem zawikłane interesy. Ten człowiek był niebezpieczny.

Zdawało się, że powiodło mu się go zjednać. Tak chwiejnego człowieka najlepiej tresować przy pomocy cukru i bata. Postanowił swą surowość w sprawie podatkowej naprawić dowodem szczególnego zaufania. Poprosił Varrona o rozmowę.

Varro przybył. Ceion przezwyciężył się. Wyjaśnił powody swego postępowania w sprawie podatkowej Gdyby chodziło tylko o nich obu, o niego i o Varrona, tłumaczył i widać było, jak trudno przychodziło mu wypowiadanie tych słów, to oczywiście by ustąpił. Ponieważ jednak w grę wchodził prestige Rzymu. prestige jednostki musiał ustąpić. „Musisz to zrozumieć, mój Varronie, — mówił, — chociaż jesteś przyjacielem wielkiego króla Partów", — zakończył, próbując kwaskowato żartować.

Varro nie zamierzał rozumieć. Przyjaźnie patrzał na Ceiona, wyczekując. Ba! ponieważ siedział bardzo blisko niego, będąc dalekowidzem, odsunął nieco ciężki fotel, aby móc wyraźniej widzieć twarz swego rozmówcy. W głębi duszy spodziewał się, że Ceion zrobi mu propozycję, powie mu, że się zastanowił, że zamierza zwrócić mu owe sześć tysięcy. Varro wiedział dobrze, jak fantastyczne było przedsięwzięcie, które rozpoczął, i gdyby Ceion wyciągnął doń rękę, wówczas ujałby ją i zaniechał swego planu. Czekał więc. Ceion jednak uważał, że posunął się już dostatecznie daleko. W gruncie rzeczy to, co powiedział, było usprawiedliwieniem się i musiało wystarczyć, jeśli gubernator cesarza tłumaczy się przed tym dwuznacznym, awanturniczym Varronem. On również czekał. Minęła jedna sekunda i jedna jeszcze. Ponieważ zaś Varro milczał i milczał Ceion w sekundach tych rozstrzygnął się los tych dwu ludzi i nie tylko ich.

Ceion z pedanterią biurokraty przeprowadził to, co sobie postanowił i zabierał się do okazania Varronowi owego „dowodu zaufania", którym chciał go sobie zdobyć. „Zaofiarowałeś mi, mój Varronie, — rozpoczął więc, — jako dobry przyjaciel swą fachową radę w sprawach Wschodu. Czy mogę teraz wykorzystać tę propozycję?" Varro, przyjemnie zdumiony, odparł: „Całym sercem jestem do twej dyspozycji".

„Umowa z Partami, — zwierzał swe troski gubernator, — dobiega końca. Z którym z dwóch pretendentów mam pertraktować? Którego z nich mam uznać? Pakora czy Artabana? Oczywistym naszym interesem jest działać w tym kierunku, aby Partowie możliwie jak najdłużej pozostawali osłabieni skutkiem swych sporów dynastycznych. Nie mogę jednak zwlekać dłużej z odnowieniem umowy. Za kim mam się wypowiedzieć?" I znów zdobył się na próbę lekkiego potraktowania sprawy i dodał z wymuszoną żartobliwością: „Kto jest tym Wielkim królem Partów, którego Przyjacielem jesteś ty, mój Varronie?"

Varro był wewnętrznie głęboko uradowany. Właśnie w tej sytuacji chciał widzieć Ceiona. Przybył do Antiochii tylko po to, aby Ceion mógł zwrócić się doń z tym zapytaniem i gdyby gubernator zwlekał jeszcze choć osiem dni, wówczas on, Varron, wbrew swej woli, musiałby zacząć z nim polityczną rozmowę. Sprawy nie mogły się wcale lepiej ułożyć.

Spiesznie przesunął w myślach wszystkie rozważania, jakie mu się nasuwały. Jeśli Ceion wypowiedziałby się za Artabanem, wówczas, jak słusznie utrzymywali mężowie w Edessie, po tamtej stronie Eufratu nie miałoby żadnego celu popieranie człowieka, nazywającego siebie Neronem. Wówczas garncarz byłby znów garncarzem, Ceion zaś cesarskim gubernatorem generalnym, panem siedmiokorpusowej armii i najważniejszej prowincji cesarstwa i nie przekształciłby się już nigdy z powrotem w Straszaka. Varro musiał więc gubernatora doprowadzić do tego, aby uznał Pakora, nie zaś Artabana. Wielokrotnie i starannie wypracował argumenty, które chciał w tym celu przytoczyć Ceionowi. Teraz jednak z zimną krwią zrezygnował z tych starannie wypracownych dowodów. Przez owe dwie sekundy wyczekiwania i milczenia poznał swego starego towarzysza młodości, Ceiona, lepiej, niż kiedykolwiek. Ujrzał, jak bardzo Ceion go nienawidzi, zobaczył, jak głęboko mu nie ufa. Ceion zrobi wręcz przeciwnie, niż mu poradzi. Poradzi mu więc uznać Artabana i odrzucić Pakora.

Tak też uczynił.

Dotychczas Ceion wahał się między Pakorem i Artabanem. Wiele argumentów przemawiało za jednym, wiele również za drugim. Widział masywną twarz Varrona, jego pełne zmysłowe usta, zuchwałe, potężne czoło, niedbałe zachowanie. Nienawidził tego człowieka i, na Jowisza, ten człowiek nienawidził go również. Pakor? Artaban? Ten człowiek poradził: Artaban. Ten człowiek wyjaśnił, że przyjacielem jego jest Artaban. Ceion wypowie się za Pakorem.

(C. d. n.)

WŚRÓD NOWYCH BROSZUR

WYŻSZE UCZELNIE POD BLOKADĄ REAKCJI.

Maria Dąbrowska, Prof. Szymanowski, Prof. Rajchman, Prof. Michałowicz, Prof. Czarnowski, Stanisław Dubois, Wł. Pietrzykowski: WYŻSZE UCZELNIE POD BLOKADĄ REAKCJI. Wydawnictwo Zw. Niez. Młodzieży Socjalistycznej. Warszawa, 1937. Str. 32.

Piekący wstyd, jaskrawa bezkarność, cyniczne znieważanie nauki i ohydna dywersja! — tak oto określa bolesną rzeczywistość wyższych uczelni, grono pisarzy, profesorów i działaczy politycznych o różnych poglądach i zapatrywaniach. Nie wszyscy luminarze kultury i społeczeństwa polskiego zdobyli się na potępienie ohydy terroru, co brutalnie wtargnął do przybytku wiedzy — ale ci nieliczni a najlepsi, którzy nie mogli milczeć, wydali wyrok swój z całą surowością. Zw. Niez. Mł. Soc. — akademicki odpowiednik P. P. S. — ogłosił broszurę, niezwykle aktualną: jest to zbiór znanych artykułów wybitnych przedstawicieli społeczeństwa polskiego, które w związku z ekscesami antyżydowskimi na wyższych uczelniach ukazały się w ostatnich miesiącach na łamach „Dziennika Popularnego" i „Robotnika". Słowa ich, to akt oskarżenia Polski Demokratycznej i Sprawiedliwej przeciw tym, którzy kryją się tchórzliwie pod płaszczykiem „narodowego" frazesu, plamią dobre imie narodu polskiego. Ostre, bezkompromisowe i demaskujące jest to oskarżenie!

Za piekący, *doroczny wstyd* oskarża *Maria Dąbrowska*, niezrównana autorka polskiej „Sagi rodu Forsytów" („Noce i dnie"): Szlachetna Polka nie łudzi się wcale — wie, że trudno jest „poruszyć serca jak gdyby jaskiniowców, mózgi jak gdyby ptasie. Jednakże ponura wymowa faktów nie pozwala milczeć, choćby się miało smutną pewność, że mówi się do ludzi głuchych, dzikich, albo wyzbytych sumienia". Tym, którzyby całe zło chcieli zepchnąć na Żydów, Pisarka przypomina, że „Polak zawsze spychał swoje winy i klęski na innych". Dąbrowska nie wierzy też ani na chwilę w „żywiołowość" objawów antysemityzmu, skoro awantury powtarzają się regularnie i zgodnie z doskonale wyreżyserowanym schematyzmem.

Zresztą na Żydach się zaczyna, a kończy się... „Na tym samym terenie uniwersytetów ci poniewieracze akademickiej i narodowej godności wykraczają już po za bezmyślną nienawiść rasową — bezczeszcząc samą naukę". Na prof. *Handelsmana* napadnięto z tyłu, profesorów *Bartla* i *Wolfkego* — obrzucono jajami. „Takimi czynami, godnie zapoczątkowanymi w grudniu roku 1922, usiłuje się zepchnąć Polskę na poziom ciemnych plemion, które dla jasnych duchów, niosących światło, mają w pierwotnych duszach zwierzęcą nienawiść, a w zanadrzu — kamień". Toteż, jak tak dalej pójdzie — polscy uczeni poczną emigrować z Polski, jak dawniej, za czasów największego ucisku. „Bo tutaj wielki cham nadciąga na Polskę nie z dołu, tylko z góry i jeśli nie znajdzie odporu, zwróci się niebawem przeciwko wszystkiemu co prawe, światłe, szlachetne i rozumne". Szlachetna Polka dobrze rozumie istotne podłoże sprawy żydowskiej i mniejszości narodowych w ogóle: „Nie miejsce tu tłumaczyć młodocianym pałkarzom tragizm i zawiłość sprawy żydowskiej, której nienormalny przerost my sami, nasz stanowy egoizm szlachty, nasze wielkie dziejowe grzechy społeczne hodowały i tworzyły przez wieki. Nie miejsce wreszcie wyjaśniać politykom i zbałamuconym dzieciakom, że uszczuplenie praw jakichkolwiek mniejszości narodowych byłoby moralnie i politycznie klęską państwa polskiego".

Ale kto winien? Maria Dąbrowska nie cofa się przed wyliczeniem długiej listy istotnych winowajców, a ma odwagę zacząć od grupy, do której sama należy: „Jesteśmy winni *my pisarze*, którzy, nie możemy znaleźć w porę słów dość mocnych, aby zatargały grubymi sumieniami", winne jest *stronnictwo nacjonalistyczne*, podżegające do zamieszek; winien jest kler, „ który gorliwie zajmuje się... Hiszpanią, ale nigdy nie wykorzystał swych wpływów dla potępienia bójek i gwałtów, dokonywanych przecież pod hasłem katolicyzmu i krzyża"; winne jest *szkolnictwo*, które wypuszcza młodzież nie przygotowaną moralnie ani umysłowo i nie zdolną w studiach do stawienia czoła Żydom; winna jest *prasa*, „która perfidnie niby to boleje, a w gruncie rzeczy pochwala najdziksze swawole": winni są *rodzice, opiekunowie i krewni*.

A profesorzy: „milczą, albo pielgrzymują do środowisk studenckiego terroru". Dlatego Pisarka kończy bolesnym mea culpa: „Ale my, starzy winowajcy, gorszyciele i bierni pozwalacze, powinniśmy wiedzieć, że dźwigamy na sobie ciężki grzech cudzy, który przynosi Polsce tylko szkodę, złe imię i wstyd".

Także prof. *Zygmunt Szymanowski* szuka winowajców i przyczyny złego, a znajduje je poza uniwersytetami, w społeczeństwie. Albowiem „w uniwersytetach jest to samo, co poza nimi". Przewrót majowy niewątpliwie uderzył także w narodową demokrację, „ale całe jego ostrze skierowało się bynajmniej nie przeciwko niej".

Sedno problemu porusza prof. Aleksander *Rajchman*, wskazując na bezprzykładną bezkarność, stosowaną przez władze akademickie wobec „szajek osobników, których nie toleruje się normalnie nawet na terenie szynków podmiejskich". Odpowiedzialność za to, co się na wyższych uczelniach dzieje, „*ponoszą* w pierwszej linii *władze akademickie*". a z nimi dzielą ją władze *nadzorcze*. Jeśli już władze akademickie wkraczają, to „w kierunku *tłumienia anty — pogromowych poczynań młodzieży*. Denuncjacje, określające wrogów akcji pogromowych, jako „anty państwowych wywrotowców są skwapliwie wysłuchiwane".

Wysuwając tak *poważne* oskarżenia pod adresem władz akademickich, prof. Rajchman uzasadnia czemu to czyni: „Co mają robić akademicy, chcący się bronić i chcący bronić kolegów. Sądzę, że mają obecnie nie tylko prawo, ale i obowiązek „wynoszenia na świat" tego, co się dzieje w uczelni. Względy koleżeństwa i dyskrecji, które kazały niejednemu wykładającemu powstrzymać się od poruszania publicznego w prasie zdarzeń, których był świadkiem, muszą ustąpić przed prostym obowiązkiem obrony własnego honoru": Władze akademickie — jak wiadomo — w odpowiedzi na mężne wystąpienie prof. Rajchmana... zawiesiły jego wykłady i wszczęły przeciw niemu postępowanie dyscyplinarne.

Prof. *Michałowicz* występuje przeciwko znieważaniu nauki w osobach jej najwybitniejszych przedstawicieli. Prof. *St. Czarnowski* także stwierdza, że „autorytet moralny ciała nauczającego jest ignorowany", *władze akademickie nie umieją znaleźć na to skutecznej rady*, a autonomia terytorialna szkół wyższych jest wyzyskiwana dla organizowania pogromów"... Taki stan rzeczy grozi zupełnym zlikwidowaniem autonomii: „Policjant w Uniwersytecie, jako gwarant spokoju na wykładzie i jako rozjemca między władzą akademicką a studentami oznaczałoby koniec stosunków, które opierać się winny na wzajemnym zaufaniu. W deklaracji swojej Ich M. M. Rektorzy uznali wkroczenie policji do wyższych uczelni za nieszczęście. Nieszczęściem raczej należałoby nazwać taki stan rzeczy, który z konieczności wywołać musi wkroczenie tej policji".

B. poseł *Stanisław Dubois* uważa, że ekscesy na wyższych uczelniach mają wyraźnie dywersyjny, w sensie społecznym, chrakter. Dywersję tę stara się przeprowadzić stronnictwo „zaplutych karłów" z bohaterami typu Eligiusza Niewiadomskiego i Adama Doboszyńskiego na czele. Endecja „sądzi, że rozpalenie zoologicznej nienawiści do Żydów jest najłatwiejsze".

Wł. Pietrzykowski, młodszy działacz pepesowski, stwierdziwszy, że „Na wyższych uczelniach rozwielmożnił się, rozchamił bezkarny chuligan endecki". stara się znaleźć przyczynę ekonomiczno-socjalną tego zjawiska. Otóż odsetek studiujących synów chłopskich i robotniczych jest znikomy w stosunku odsetka dzieci klas posiadających, bo nauka jest przywilejem bogatych. „Ogromna większość studiujących — bo 4/5 ogółu młodzieży akademickiej, wnosi na teren uczelni tradycje reakcyjne, zaszczepione w domu rodzinnym. Bo proszę sobie wyobrazić psychologię takiego paniczyka. Papa zapłaci czesne, sprawi garnitur, da na kino i dziewczynki". Życie płynie takiemu beztrosko, więc chętnie wyżywa się w biciu Żydów i w innych burdach endeckich

* * *

Streściliśmy obszernie i cytowaliśmy opinie reprezentantów demokratycznej i szlachetniejszej części społeczeństwa polskiego, mimo, że stosunkowo nie dawno ukazały się one w formie artykułów na łamach prasy. Uważamy bowiem, że w walce która toczy się obecnie o przyszłość i oblicze Polski, głosy te winny być utrwalone jak najbardziej, winny dotrzeć do jak najszerszych kół społeczeństwa polskiego i społeczeństwa w Polsce.

Dlatego dobrze postąpił Z. N. M. S., wydając tę tak pożyteczną obecnie broszurę.

PALESTYNA DLA NARODU ŻYDOWSKIEGO.

Prof. Chaim Weizmann: „Eerec Isroel farn jidiszen folk" (w języku żydowskim"). Stenogram mowy wygłoszonej przed Komisją Królewską w Jerozolimie dnia 25. XI. 1936r. Biblioteka „Hatechii" Nr. 1. Warszawa 1937 r. Str. 47.

Radykalno-Syjonistyczna Organizacja „Hatechija" w Warszawie wydała w języku żydowskim stenogram mowy Weizmana. W prasie mowa ta ukazała się w szczegółowym streszczeniu, które uwydatniło i podkreśliło jej najbardziej istotne elementy. Stenogram wszakże tym różni się od streszczenia, że daje wszystko: momenty najważniejsze, a obok obok nich rzeczy mniej ważne. Te drugorzędne momenty przemówienia oraz reakcja słuchających, wyrażana w postaci krótkich uwag — rzucają nieraz bardzo charakterystyczne światło na stosunek do osoby mówcy, na dynamikę jego mowy i efekt, który wywołała.

Otóż odnieśliśmy wrażenie, że Komisja Królewska wysłuchała przemówienia Prezydenta Organizacji Syjonistycznej i Agencji Żydowskiej z wielkim dla jego osoby szacunkiem. Przemówienie było długie, ale tylko niezmiernie rzadko Prezes i członkowie Komisji przerywali je krótkimi rzeczowymi uwagami albo zapytaniami.

Prof. Weizman, jak wiadomo, omawiał kwestię żydowską w bardzo obszernych i wyczerpujących wywodach. Zdając sobie z tego sprawę, w trakcie mowy zwrócił się do Komisji z kurtuazyjnym usprawiedliwieniem:

— Proszę mi wybaczyć, że tak długo omawiam to zagadnienie, sądzę jednak, że jest rzeczą bardzo ważną oświetlić je w stopniu, na jaki tylko pozwalają moje możliwości .

— Proszę, niech Pan weźmie sobie tyle czasu, ile potrzebuje — odpowiedział uprzejmie lord Peel .

W ostatnich już ustępach przemówienia prof. Weizman użył zwrotu: „Zanim skończę...,, Lord Peel przerwał natychmiast: „Pan może mówić dalej, Pan ma dosyć czasu".

Do charakterystycznych momentów wypada też zaliczyć następujący krótki ustęp stenogramu:

• „*Lord Peel* — Jedno z pytań, które chcieliśmy p. zadać jest: jakie są, według pańskiego zdania, zasadnicze przyczyny, które doprowadziły do ostatnich rozruchów? Jest to jednym z problemów, które mamy tu zbadać.

Prof. Weizman: Na to chciałbym odpowiedzieć przy drzwiach zamkniętych".

Zacytowaliśmy tu dla przykładu parę, zdaniem naszym, charakterystycznych szczegółów. Ale najważniejszą rzeczą jest silne i przekonywujące wrażenie, jakie całość historycznego przemówienia wywiera na czytelnikach i które najprawdopodobniej wywarła owego 25. listopada 1936r. na słuchaczach.

LEGENS.

KRONIKA LITERACKA

DAWID SZYMONOWICZ LAUREATEM NAGRODY IM. BIALIKA.

Tegoroczną nagrodę literacką im Bialika w wysokości 50 funtów przyznano wybitnemu poecie hebrajskiemu, Dawidowi Szymonowiczowi, za jego poemat „Macewa."

KORAN PO HEBRAJSKU

W Jerozolimie ukazał się drugi tom hebrajskiego przekładu Koranu, dokonanego przez docenta Uniwersytetu Hebrajskiego Dr. J. Rywlina. Następne tomy Koranu ukażą się po hebrajsku jeszcze w bieżącym roku. Docent dr. Rywlin pracował przez wiele lat nad przekładem pod redakcją Ch. N. Bialika.

*

Else Lasker Schuler, najwybitniejsza poetka niemiecko-żydowska, wydała w Oprecht Verlag w Zurychu wrażenia swoje z podróży po Palestynie pt.: „Hebräerland".

*

Nakładem Towarzystwa Wydawniczego ukazała się książka Hanny Mortkowiczówny p. t.: „W Palestynie".

SZTUKA RAYNALA O NAPOLEONIE

Teatr „Porte Saint Martin" wystawił sztukę Paula Raynala, autora sławnego „Grobu Nieznanego Żołnierza" — pt: „Napoleon Unigue" — akcja dramatu toczy się dookoła sprawy rozwodowej Napoleona w r. 1809. W dramacie występuje tylko pięć osób: Napoleon, Józefina, Laetitia Bonoparte, Talleyrand i Fouché.

H. G. WELLS O SYJONIZMIE I ANTYSEMITYZMIE

H. G. Wells w wywiadzie, udzielonym Alfredowi Kerrowi, zaprotestował przeciw posądzania go o antysemityzm. „Wielu ludzi twierdzi, że jestem antysemitą. Nie jestem nim. Sądzę tylko, że Żydzi przeżywają kryzys" — powiedział Wells. Wówczas Kerr odparł: „Żydzi już ten kryzys przeżywają od 3000 lat i wciąż jeszcze żyją". Na to Wells: „Ale popełniają teraz znowu fatalny błąd — tworzą państwo w Palestynie. Syjonizm spotęguje jeszcze nieszczęście żydowskie. Pocóż tworzyć jakąś nową Bułgarię? Mamy dość małych państw. Jestem za związkiem wszystkich krajów ,jestem więc zarówno przeciw imperializmowi brytyjskiemu, jak przeciw syjonizmowi."

Tak rzecze H. G. Wells.

„DZIADY" W SOFII

W najbliższych dniach odbędzie się w Teatrze Narodowym w Sofii premiera „Dziadów" Mickiewicza. Reżyserować będzie Leon Schiller, który „Dziady" wystawi w inscenizacji, jaką zaprezentował przed paru laty w Teatrze Polskim. Dekoratorem będzie Andrzej Pronaszko.

---

tu o „Wiadomościach literackich" — Red.) „Camera obscura", która ma być głosem sumienia i bronią w walce z triumfującym chamstwem.

Niektórzy zaś poeci piszą już dziś o klęsce, o „polskim Alkazarze", któremu tylko polec i paść wypada."

Tyle o literaturze. Ale zajmijmy się oddzielnie poezją.

5. POEZJA.

Tę reprezentuje na froncie prawicowym „Prosto z mostu". Redaktor Piasecki pragnie monopolizować dla swego tygodnika młodą poezję narodową, dlatego nie ustaje w poszukiwaniu poetów. Ale jak i we wszystkich literaturach totalnych, tak i w Polsce żaden prawdziwy talent jakoś nie chce się uchować pod opiekuńczymi skrzydłami Mosdorfowymi. Więc trzeba szukać na gwałt namiastki. Że grafoman, to nie szkodzi, byle znalazł się twórca „Horst Wessel-lied" rodzimego chowu. I znalazł się. A jakże! Pan Konstanty Ildefons Gałczyński „bywszy" współpracownik „Cyrulika Warszawskiego", a więc bywszy folksfrontowiec, odstawiony za swe bełkoty grafomańskie od „Wiadomości literackich", chce się teraz odegrać na łamach prasy oenerowskiej, gdzie znaleźli przytulisko wszyscy grafomani nędznego kalibru, którzy brak talentu chcą zastąpić tupetem, sadyzmem i kłamstwem. W wierszu po tytułem „Polska wybuchła w roku 1937" bełkocze ten nowoodkryty wieszcz, dotychczas tępiony przez oficjalną opinię literacką, a obecnie pasowany na autora oenerowskiego Horst Wessel-liedu, następujące podniosłe i „poetyckie" strofy („Prosto z mostu" 21/II.)

„Od tych Stępowskich, od tych znawców"
milszy nam sąd warszawskich krawców,
ślusarzy, zdunów, prostych bab.
I oni słowa nasze podchwycą,
nie recenzenci idiotyczni:
w Polsce pachnieć będzie pszenicą,
nie intelektem rabinicznym.
Na tych, co biorą wody w usta,
na czytelników wuja Prousta,
na skamandrytów, na hipokrytów,
kalamburzystów rozmaitych
ześlij, zepchnij, Aniele Boży,
NOC DŁUGICH NOŻY.

A więc wyraźnie: „noc długich noży"! Noc św. Bartłomieja! To jest przynajmniej jasne i niedwuznaczne. Wytępić długim nożem. Apoteoza żyletek korporanckich. Już nie bojkot ekonomiczny, samoobrona kulturalna, lecz po prostu rzeź.

Zapach tej poezji jest bardzo daleki od zapachu pszenicy...

RUSTAN.

NOC DŁUGICH NOŻY

Proces „glajchszaltowania", równania na prawo, odbywa się systematycznie na wszystkich prawie frontach życia kulturalnego. Hasło antysemityzmu i faszyzmu znajdują co raz żywszy posłuch na odcinkach literatury, filmu, radia, prasy. Przytoczone niżej wycinki z prasy to skromne tylko pokłosie lektury gazet z ostatnich dni, odzwierciedlających tę obłudną akcję wstecznictwa.

1. RADIO.

„Głos powszechny" z dnia 21.II. b. r. pisze:

Bardzo słuszne były wczorajsze uwagi „Robotnika" o odczycie p. prof. Znamierowskiego, w Polskim Radio, które zainicjowało cykl wykładów przeznaczonych dla „kół dyskusyjnych" w mieszkaniach, klubach i t. p. „Robotnik" zarzuca prof. Znamierowskiemu propagandę faszyzmu. Radio powinno unikać takich jednostkowych wystąpień politycznych.

Polskie Radio jest instytucją państwową, wobec czego nie może być terenem wyczynów faszystowskich profesorów, albo też słuchacze zaczną bojkotować nie tylko uczonych faszystów, ale i Polskie Radio.

Nie mamy nic do dorzucenia do tych słów, potępiających propagandę faszyzmu — przez radio, przez Polskie Radio, gdzie zresztą z taką propagandą występują... nie sami tylko profesorowie".

2. FILM.

Zahorska na łamach „Wiadomości literackich" z dnia 28.II. b. r. w artykule p. t. „Film, którego nie zobaczymy" zdaje sprawę z filmu zachowawczego, religijnego, osnutego na tle Starego Testamentu p. t. „Zielone Pastwiska". W Polsce

film nie został nawet przedstawiony rzaniem: „Znowu żydowska sprawka — powiedział — propaganda Starego Testamentu: znamy się na tym". Prawdopodobnie znalazłoby się więcej takich, którzy by się na tej ukrytej sprężynie poznali Inni — i takich byłoby więcej — krzyczeliby, że taki film jest bezczeszczeniem religii..."

Czy ten pan o demokratycznej przeszłości to nie pan prezes Akademii Literatury? Bo jeśli tak, to nie dziwimy się wcale jego enuncjacjom, gdyż już nas zdążył do tego rodzaju popisów przyzwyczaić.

O ekspansji filmów niemieckich w Polsce daje kilka cyfr „Głos powszechny" z dnia 21.II. b. r.:

„W r. 1933 wyświetlono na ekranach Polski — 7 filmów niemieckich, w r. 1935 — 25 filmów, a w r. 1936 — 48 filmów. Te liczby mówią za siebie. Import filmów z Niemiec w ciągu niespełna 3-ch lat zwiększył się z 3 proc. na 22 proc.!

Na skutek swej dumpingowej taniości, filmy te znalazły zbyt przede wszystkim na polskiej prowincji i co ciekawsze — w tych ośrodkach kraju, które szczególnie powinny być chronione przed zalewem germanizacyjnym a więc na Górnym Śląsku, Pomorzu i w Poznańskim.

cenzurze w przewidywaniu odmownej decyzji... Obecny na zamkniętym pokazie znakomity pisarz o pięknej demokratycznej przeszłości, obejrzawszy film do końca, uśmiechnął się z niedowie-

Filmy niemieckie wyświetlane tu są w języku niemieckim, bez polskich napisów. Ba! Nawet bilety wstępu do kin są drukowane w języku niemieckim, a cóż dopiero plakaty i reklamówki wyświetlanych obrazów.

Obywatele polskich kresów zachodnich zatruwani są obecnie stale za pomocą filmów sympatiami do Niemiec Fryderyka Wielkiego, do ery Bismarka, do pionierów kultury niemieckiej w koloniach, do zasady, że Niemcy to — „Volk ohne Raum".

Do tych wiadomości warto jeszcze dodać kilka słów informacji o nowych filmach polskich, montowanych na zasadach rasistowskich (n. p. „Płomienne serca").

3. PRASA.

Red. Grosstern, długoletni prezes oddziału Warszawskiego Syndykatu Dziennikarzy Polskich został zwolniony ze stanowiska współpracownika P.A.T....

W „Kurierze Porannym" znane już opinii publicznej przesunięcia personalne w ten sposób ocenia „Prosto z mostu" z dnia 21 II. b. r.

„Jak to już pisaliśmy, redakcję „Kuriera Porannego" objął po pp. Rzymowskim i Czarnockim — Ferdynad Goetel. W ciągu ostatnich dni pismo wykonało obrót o 180 stopni: od sanacyjnego socjalizmu do sanacyjnego nacjonalizmu".

Hercoldem tego nowego kurieroporannego nacjonalizmu stał się p. J. E. Skiwski, który po burzliwych losu kolejach wyladował jako najbliższy współpracownik p. Goetla przy ul. Marszałkowskiej."

Dodajmy do tego, iż pomimo zaprzeczeń redakcji czołowym publicystą został Piestrzyński, przywódca młodych narodowców, którzy przeszli do sanacji. Wraz z nim hasła wojującego nacjonalizmu reprezentuje tam najgorliwszy obok Skiwskiego neofita Łobodowski.

4. LITERATURA.

W ostatnich tygodniach skonfiskowano dzieła literatów Czuchnowskiego, Piwowara, Skuzy, Uniłowskiego (częściowo), oraz przypisy do „Powrotu z Z. S. R. R." A. Gide'a, ogłoszone na łamach „Wiad. literack." (konfiskata ta została uchylona przez sąd okręgowy).

W Sejmie poseł Hoffman poruszył sprawę niezatwierdzenia przez M. W. R. i O. P. do bibliotek szkolnych nader popularnej i pożytecznej książki Majewskiego.

„Dziennik Popularny" z dnia 21.II b. r. informuje:

„PROF. PRZEDPOTOPOWICZ... HERETYKIEM. Kler skarży się ciągle jakoby był przez władze szykanowany. Jak daleko jednak sięgają wpływy kleru stwierdza przemówienie posła Hoffmana. Przytacza on mianowicie fakt, że miała być wydana ponownie książka prof. Majewskiego p. t. „Profesor Przedpotopowicz". Ministerstwo nie zgodziło się na wydanie tej rzeczy, albowiem mają się tam znajdować ustępy niezgodne z religią. Zaznaczyć należy, że książka ta była czytana po przednio przez kilka pokoleń młodzieży i nie dopatrzono się w niej jakiejkolwiek herezji."

O defetyźmie i panice wśród literatów, którzy biernością i rezygnacją ułatwiają zwycięstwo faszyzmu, tak pisze Hollender w swym felietonie tygodniowym („Głos powszechny" z dnia 22.II. b. r.):

Dzisiejsza Warszawa intelektualna przypomina człowiekowi, który do niej zaledwie przyjechał. Berlin z czasów wybuchu hitlerowskiego puczu. Ani jednej próby oporu, ani jednego głosu kogoś, kto miał dotychczas tyle do powiedzenia. W najbardziej reprezentacyjnym piśmie literackim tylko (mowa

ANTENA ŚWIATA

Nowy Prez. Finlandii

177 głosami przeciwko 104 obrany został prezydentem Finladii przywódca agrariuszy, Kyosti Kallio i w ten sposób usunięty został z życia politycznego stary dr. Svinhufvud, bohater niepodległościowy, człowiek niezwykle prawy, którego całe życie było nieustanną walką o chwałę i szczęście Finlandii.

Karierę polityczną rozpoczą Svinhufvud (który niedługo obchodzić będzie 75-lecie swoich urodzin) w końcu ubiegłego stulecia. W tym okresie przyszły zbawca Finlandii był skromnym adwokatem, który wywodził ród swój z rodziny drobnych obywateli ziemskich, ogromnie przywiązanych do roli i dążących namiętnie do emancypacji swej ojczyzny. Młody Piotr Svinhufvud także rzucił się w wir walki przeciw caratowi i wkrótce stał się sławny. Został przywódcą ruchu autonomicznego. Już wtedy poznajemy dominującą cechę jego charakteru: poczucie legalności. Zwalcza rusyfikatorów i rusyfikację, ale nie konspiruje i urzędnicy carscy „nielegalnie" deportują go z końcem 1914 r. na Syberię, gdzie pozostawał do 1917 r. Pierwsza rewolucja rosyjska uwalnia go. Wówczas wraca natychmiast do Helsingorsu, gdzie staje na czele Rządu Tymczasowego. On to właśnie 6 grudnia 1917 r. proklamuje niepodległość Finlandii. Wydawałoby się, że aktem tym cel jego życia został osiągnięty...

Jednakowoż, walka dopiero teraz się zaczyna... Bolszewicy przyznali wprawdzie narodowi finladzkiemu prawo stanowienia o sobie, lecz armii czerwonej wycofać z Finlandii nie chcieli. Przewidujący Svinhufvud organizuje pokryjomu armię w Vasa pod dowództwem gen. Mannerheima i pertraktuje z Niemcami w sprawie przysłania korpusu posiłkowego. Gdy więc w styczniu 1918 wybucha powstanie czerwonych Svinhufvud jest — przygotowany. Skoro tylko korpus niemiecki pod dowództwem von Golza wylądował na wybrzeżu południowym, komuniści zaniechali walki i złożyli broń. Svinhufvud oswobodził swą ojczyznę poraz wtóry.

Wszystko stało wówczas otworem dla człowieka, którego wieśniacy nazywali „starym Piotrem". Ofiarowano mu, w uznaniu wiekopomnych zasług, godność „regenta", — gdyż Finladia liczyła na konstytucję monarchistyczną; następnie zaś, gdy zaniechano myśli o monarchii, zaproponowano mu prezydenturę. Lecz ten wyjątkowo skromny człowiek uważał, że już wszystko dla swej ojczyzny zrobił i usunął się.

Zjawia się ponownie dopiero w r. 1931, jako prezydent republiki. W międzyczasie bowiem bolszewicy ponownie zagrażają jego ojczyźnie, organizując się i teroryzując kraj. Powstaje wówczas reakcja znana pod nazwą „ruchu Lapua". Lapiści chcą się bronić sami, organizując się na wzór faszystowski. Zagrażają nie tylko komunizmowi, ale i demokracji. W tym okresie przeprowadzone zostają właśnie nowe wybory i nowoobrane izby opowiadają się za prezydenturą Svinhufruda. I oto sama tylko jego obecność likwiduje wszystkie niepokoje.

Przy ostatnich wyborach prezydenckich wystawiono trzy kandydatury: Svinhufruda, Kyosti Kallio i b. prezydenta, radykała Stahlberga (który w czasie swojej prezydentury odmówił wystąpienia przeciw bolszewikom). Kolegium wyborcze stanowili: socjaliści w liczbie 96, konserwatyści — 84, agrariusze — 56, liberałowie — 36 i szwedzi — 28. W wyniku pierwszego głosowania odpadł Stahlberg, kandydat zblokowanej lewicy. Wtedy socjaliści oddali swe głosy na Kallio, uważając go za mniejsze zło, niż „faszysta" Svinhufrud. Tak więc agrariusze, którzy są w Finlandii mniejszością, uzyskali swego prezydenta.

*

Kallio ma również wielkie zasługi dla swej ojczyzny: był Prezesem Rady Ministrów w r. 1922, kiedy to przeprowadzono słynne prawo antykomunistyczne. Jest twórcą słynnej reformy rolnej, znanej pod nazwą „prawa Kallio'a", którą się Finlandia słusznie chlubi. Obecnie będzie musiał współpracować z socjal-demokratami, których głosami został wybrany. Czeka go trudne zadanie skierowania ogólnej polityki na nowe tory. Albowiem w ostatnich latach Finlandia, pod rozumnymi rządami Svinhufruda, dokonała wielu rzeczy. Finanse zostały uporządkowane, budżet zrównoważony, bilans handlowy jest dodatni, a bezrobocie prawie, że opanowano. W polityce zewnętrznej Finlandia wystąpiła z grupy państw bałtyckich, aby zbliżyć się do narodów skandynawskich. Poza tym przeprowadzono dozbrojenie, przeznaczone głównie dla ochrony granic wschodnich.

Z chwilą wyboru nowego prezydenta zmieniła się również orientacja w stosunku do Z. S. S. R. Dotychczas Finlandia zachowywała dystans w stosunkach z Sowietami, które chciały wzniecić powstanie w Finlandii. Z chwilą ustąpienia Svinhufvuda zmienił się radykalnie kurs polityki wobec Z. S. S. R. Obecny mnister spraw zagranicznych Holsti udał się już do Moskwy celem porozumienia się z Litwinowem. Aczkolwiek żaden traktat nie zotsał jeszcze podpisany, Sowiety uważają tę kurtuazyjną wizytę za swój wielki sukces dyplomatyczny, Holsti zaś za — swój sukces. W każdym razie jedno nie ulega wątpliwości. Przy tej zmianie kursu będzie miał nowy prezydent niejedną trudność do pokonania, w szczególności w wyścigu o popularność w masach, którą, jak dotąd cieszył się najbardziej stary prezydent Svinhufrud.

Kilka słów Pana Goebelsa

Przemówienie, jakie wygłosił dr. Goebbels w Deutschlandhalle było niezmiernie zajmujące ze względu na swą formę. Minister Propagandy, który jest bardziej gadatliwy, niżeli wymowny, był w swoim żywiole. Rzadko tylko posługiwał się efektami patetycznymi, z którymi jest mu tak samo nie do twarzy, jak Führerowi. Mówił w przeciągu dwuch godzin, niczem conferencier kabaretowy, częstokroć zajmująco, nigdy nudnie, posługując się przy tym dowcipami, częstokroć zbyt łatwymi i pozbawionymi nowości.

Między innymi mówił dr. Goebbels dużo o propagandzie radiofonicznej Sowietów w Niemczech, o tym, jakoby wszyscy Niemcy słuchali co wieczór pochodzącej z Moskwy krytyki regime'u hitlerowskiego. I nie myli się pan minister. Rzeczywiście, w obecnej chwili audycje moskiewskie cieszą się w III Rzeszy niezwykłą popularnością. Niezliczona liczba obywateli niemieckich, słucha radia z Moskwy. Sowiety bowiem nadają inne wiadomości, aniżeli te, które czyta się w prasie hitlerowskiej i słyszy wokoło. Najbardziej lojalny obywatel nie jest pozbawiony pewnej dozy ciekawości, a w III Rzeszy jest minimalna liczba środków dla jej zaspokojenia.

Faszystowscy antyfaszyści

Jednym z nielicznych ludzi, których faszyzm nie śmie dotknąć, jest Benedetto Croce, jeden z najwybitniejszych filozofów i historyków współczesnych.

Croce od wielu lat jest redaktorem i wydawcą publikacji p. n. „Chitica", która ukazuje się w Neapolu. Jest to jedyne pismo, które nie schlebia rządom faszystowskim. Ale znalazł się oto pewien pan, posiadacz licznych dyplomów uniwersyteckich, które przekonały go, że godny jest zwalczać najwybitniejsze umysły, a więc przede wszystkim Benedetto Croce'a.

Założył więc ów pan wydawnictwo konkurencyjne „Anticritica", którego pierwszy numer rozesłał gratis wszystkim studentom neapolitańskim.

Studenci ci należą wszyscy do partii faszystowskiej, ale z małymi wyjątkami są wszyscy... antyfaszystami.

Po pojawieniu się pierwszego numeru „Anticritica" zgłosiła się do autora delegacja studentów celem zaproszenia go na uroczysty bankiet, ku jego czci, urządzony w willi pewnego arystokraty neapolitańskiego.

W dniu bankietu p. Anti - Croce, odświętnie ubrany, udał się do pałacu. Pełen godności służący otworzył mu drzwi. Podwójny rząd służby w liberii składał mu ukłony, gdy wstępował na schody. Maitre hotelu wprowadził przybysza do rzęściście oświetlonego salonu, gdzie zastał po królewsku zastawiony stół i dwa murzyniątka, starające się odgadnąć wszystkie jego życzenia.

I to wszystko! Pan Anti - Croce był na bankiecie sam z sobą.....

Faszystowska niewinność

W „Il Regime Fascista" oświadcza p. Farinacci, że serce jego jest „przepełnione żywą radością" z okazji zwycięstw włoskich... w Hiszpanii. „Nie mieliśmy, mówi p. Farinacci, żadnej możliwości sprawdzenia tego faktu, lecz jeśli odpowiada on prawdzie, musimy się przyznać, że jesteśmy z tego powodu zadowoleni i dumni."

Albowiem „zwycięstwo faszyzmu w Hiszpanii będzie dobrą nauczką dla Francji, Rosji, które przekona je raz na zawsze", że z faszystowskimi Włochami żartować nie wolno."

W ten mniej więcej sposób wygląda Włoska „polityka nieinterwencji." Skoro zaś rząd Italii „naprawdę" nic nie wie o ochotnikach włoskich, walczących na froncie hiszpańskim, możeby p. Farinacci zechciał wytłumaczyć sprawę Zighetti'ego. W jaki sposób Pietrowi Zighetti'emu, skazanemu na trzy lata więzienia przez sądy włoskie, podsunięto myśl, aby się „zaciągnął do szeregów armii Franca w Hiszpanii, a wtedy kara będzie mu darowana. Poza tym może p. Farinacci zechce w dalszym ciągu wyjaśnić, w jaki to sposób zaciągnięcie się do szeregów ochotniczych mogło „ujść z pod kontroli rządu włoskiego i jaką karę wymierzono oficerowi milicji faszystowskiej Dr. Mazzolavi'emu, który umożliwił Zeghetti'emu jego „dobrowolne zaciągnięcie się"?...

Po wyjaśnieniu tych spraw już teraz z łatwością uda się wytłumaczyć sprawę Carlo Berte'a, kombatanta z wojny abisyńskiej, który, powróciwszy do kraju, nie mógł znaleźć pracy i któremu również podsunięto myśl wstąpienia do szeregów „hiszpańskich."

I to wszystko mieli czynić „ludzie, którzy się wymykają z pod kontroli rządu"?.

Jean Perrin, podsekretarz Stanu dla badań naukowych, polecił Komisji wybitnych matematyków, aby obliczyła ile trzeba czasu (lat, miesięcy, tygodni, dni, godzin i sekund), aby uczynić faktem rzeczywistym kontrolę nieinterwencji, skoro przyjmujemy za podstawę,że komitetowi trzeba było aż 7 miesięcy i 50 tys. Włochów, nie licząc „ochotników" niemieckich, aby ustalić zasadę tej kontroli.

Nieznany rękopis Kanta

Sławny Filozof z Koenigsberga pozostawił jak się okazuje, w spuściźnie jeszcze jedną pracę, dotychczas nie wydaną. Jest to dzieło, zawierające ponad 1300 stron. Pierwszy tom jest już obecnie w druku, a drugi w przygotowaniu. Czemuż trzeba było czekać aż 133 lata, aż dzieło to ujrzało światło dzienne? Praca to została przez Kanta napisana w latach 1796—1803. Manuskrypt jej jest własnością pewnej rodziny pastorskiej z Hamburga. Aczkolwiek fakt ten znany był od wielu lat, nikt nie odważył się jednak na druk dzieła, ponieważ bardzo trudno było powiązać poszczególne fragmenty manuskryptu.

Próby publikacji czymione były dwukrotnie: jedna w 1882 r., a druga w 1888, ale obydwie bez powodzenia. Dopiero w ostatnich latach prof. Adicke zdołał wyłuszczyć przewodnią myśl Kanta, którego prace w ostatnich latach przed śmiercią były z powodu choroby bardzo pogmatwane i niejasne. W ten sposób Adicke umożliwi wydanie pism królewieckiego filozofa.

Sukcesja po Zacharowie

Sprawa sukcesji po Sir Basili Zacharowie jest trudnym zagadnieniem skarbowym dla spadkobierców. Wiedomo, że król amunicji był synem ojca Rosjanina i matki Greczynki, urodzonym na terytoirum tureckim, naturalizowanym w Anglii, Francji i w ks. Monaco.

Pozostawił duże posiadłości ziemskie we Francji i Monaco, a rozmaite interesy pieniężne nieomal w całej Europie.

Jedyną jego spadkobierczynią jest — pasierbica. — Hiszpanka.

Ciekawe, któremu z państw przypadnie wielomilionowy podatek spadkowy z majątku po zmarłym Zacharowie.

Muzyka — Sztuka — Teatr — Kino

PREMIERA W OPERZE.

„Legenda o Józefie" balet z muzyką Ryszarda Straussa. „Schubertiana" suita taneczna. Choreografia i inscenizacja obydwu baletów S. Leontiewa.

„Legenda o Józefie" grana była na wielu scenach europejskich, zapewne dlatego, że łączy się tu dobra firma kompozytora z efektownym widowiskiem, dającym możność wielostronnego popisu, zarówno dla baletu zespołowego, jak i solistów.

O ile strona choreograficzna stanowi tu niezwykle wdzięczne pole dla fantazji reżysera, o tyle muzyka ta nie należy do najlepszych partytur Straussowskich.

Pisana raczej z obowiązku. (na zamówienie Diagilewa, nie żyjącego już obecnie kierownika najsłynniejszego w świecie baletu), niż z istotnej wewnętrznej potrzeby wypowiedzenia się, — muzyka „Legendy" nie jest owocem czystego natchnienia. Tym niemniej jednak Strauss pozostaje zawsze niezrównanym mistrzem; faktura jest tak świetna i sama w sobie tak przekonywująca, że dzieła tego można wysłuchać z daleko większą satysfakcją, niż nie jednego utworu współczesnego, którego braki techniczne uchodzą za „odstępstwa od szablonu" lub za „nowe, indywidualne" pomysły kompozytora.

Wykonanie „Legendy" nie było zadawalające pod żadnym względem. Wprawdzie dyr. Bierdiajew nie szczędził starań i wysiłków, by całość utrzymać w karbach, lecz orkietsra przywykła do tak niskiego poziomu grania, jakby to był teatrzyk w Pipidówce, a nie opera stołeczna: drzewo i blacha wciąż nie stroiły się, dynamika gruboskórna, pozbawiona jakiejkolwiek finezji.

Strona choreograficzna także pozostawiała wiele do życzenia. Najlepiej wypadały tańce zespołowe, zwłaszcza w scenach końcowych efektownie pomyślane. Natomiast główna para solistów, p. Leontjew w partjii tytułowej i p. Szatkowska, jako Putyfara, zupełnie nie byli na wysokości.

Role te należy nie tylko odtańczyć, ale także po aktorsku odegrać. Mimika jest niesłychanie ważna w tym balecie-pantominie; p. Leontiew i p. Szatkowska nie posiadają do tego. ani żadnych danych, ani odpowiednich. warunków zewnętrznych, mimo że obydwoje władają pokaźną techniką baletową.

Dobrze, że wszyscy znają treść legendy o uwodzicielskiej Putyfarze, co wdziękami swymi chciała skusić do grzechu cnotliwego Józefa i że wszyscy wiedzą, jak to Józef, skazany przez wyroki ludzkie na śmierć, za uporczywe trwanie w niewinności, zostaje cudem ocalony.

Gdyby nie popularność tej legendy, kto wie, czy widzowie orientowaliby się dostatecznie w tym widowisku, którego najważniejszą sprężyną winno być wyraziste odtworzenie dwuch ról głównych.

*

Wystawienie „Schubertiany" jako uzupełnienie wieczoru, należy zaliczyć do całkiem niefortunnych pociągnięć dyrekcji.

Skoro tyle oryginalnych i ciekawych baletów nie może doczekać się wystawienia, to czemu właśnie wybrano wątpliwej wartości przeróbkę, źle dobrany zlepek pięknych melodii Schuberta, tym bardziej, jeśli na tym tle nie ma się nic ciekawego ani nowego do powiedzenia?

Skoro wciąż się mówi o braku pieniędzy w operze, to czemu właśnie pchać pieniądze w tak nieciekawe eksperymenty? Nie mówiąc już o tym, że głosy, śpiewające za sceną, w połączeniu z niestrojącymi się instrumentami w orkiestrze, dawały niemiłosierne fałsze.

Ze wszystkich solistów w „Schubertianie" najlepiej spisał się solista-klaker na widowni.

*

O III Międzynarodowym Konkursie Chopin'owskim zamieścimy szczegółową recenzję po jego zakończeniu.

J. ERNICZ-HOMAŃSKA

Z WYSTAW.

Wystawa prac malarskich Zrzeszenia Art. - Plastyków „Prąd" z Krakowa w Zw. Zaw. Pol. Artystów Plastyków.

Wystawa prac krakowskiego zrzeszenia „Prąd" jest przykrym dysonansem na tle ostatnich wystaw w związku. Dotychczasowe bowiem wystawy, urządzane w bieżącym sezonie w lokalu związku odznaczały się dość wysokim poziomem. Nie można jednak tego niestety powiedzieć o wystawie bieżącej, która za wyjątkiem prac Hanny Krzetuskiej i Majera Amenta, nie wzbudzających bynajmniej szczególnego entuzjazmu, jest poniżej najbardziej łagodnych kryterjów artystycznych. Nie bardzo też tłómaczą się intencje i charakter „zrzeszenia". Gdzież tu właściwe zrzeszenie? Co „zrzeszenie" reprezentuje, jako wspólnota artystyczna? Trudno przecież dopatrzeć się w eksponatach jakiejś wspólnej ideologii lub choćby jednakowych, podobnych kwalifikacji technicznych. Co np. łączy p. Amenta z p. Jerzym Zygmuntem Piwką? Czyżby zatem „zrzeszenie" było jedynie mechanicznym, przypadkowym zespołem kilku plastyków — mającym poprostu jakiś wspólny interes? Nie byłoby w tem oczywiście nic niezwykłego ani zdrożnego. Tylko, że wówczas nie przybiera się, choćby nic nie wiążących, symbolicznych nazw, które sugerują jakąś odrębną ideologję, jakąś specyficzną wspólną, artystyczną postawę.

„Martwe natury" Amenta noszą natarczywe piętno teoretycznych kalkulacji: Obok bezpośredniości i prostoty widzimy w tych pracach tanie, dawno przebrzmiałe pokubistyczne „tricki", które mącą czystość koncepcji artysty. Posługuje się on zazwyczaj niemal czystą, szeroko założoną, nieforemną przeważnie, niebiesko-zieloną plamą. Są to wprawdzie pomysły jeszcze dość surowe, walorowo niezbyt zróżniczkowane, kompozycyjnie chwiejne — niemniej jednak świadczą one o temperamencie malarskim i odrębnym obliczu Amenta.

Prace Hanny Krzetuskiej formalnie najzupełniej odmienne są typowym przykładem t. zw. „smaczków" kolorystycznych. Jest to jakgdyby wstęp do malarstwa. P. Krzetuska niewątpliwie rozporządza pewną skalą środków kolorystycznych, które jednak nie są jeszcze zorganizowane, ani poddane świadomej i celowej dyscyplinie malarskiej. Artystka wyczuwa jakie to zestawienia mogą wywrzeć złudzenia rzetelnego malarstwa, nie pogłębia wszakże dość poważnie swych koncepcji, dając w rezultacie namiastkę malarstwa. Pozatem ulega jeszcze zbyt licznym sugestiom np. aktów Zb. Pronaszki („Akt"), nie posiadając jednak dostatecznej wiedzy o plastycznej budowie modela ani umiejętności przekształcania natury na nową, malarską rzeczywistość. Stąd niedociągnięcia techniczne oraz różnorodności a raczej chaotyczność koncepcyj. Stosunkowo najlepsze są prace olejne artystki, gwasze, natomiast mdłe, przesłodzone różowemi kolorkami.

Prace p. Weingrünówny Anny — to udane próby amatorskie; szczególnie korzystnie o zdolnościach malarskich świadczą olejne „Kwiaty" (I) i „Na kanapie". O płótnach Jerzego Zygmunta Piwki i Stanisława Herstala, mimo najlepszych chęci, nie da się nic pozytywnego powiedzieć. *L. S.*

TEATRY.

TEATR NOWY: „3... 6... 9..." Dusana.

Sztuka Dusana to jeszcze jeden wariant doszczętnie już przez teatr wyeksploatowanego motywu o wiecznej miłości, trójkącie. Autor — zdaje się — chciał przeprowadzić w swym utworze tezę, iż można głęboko kochać bez wielkich słów i niepotrzebnego gadania i-vice versa — poetyzowanie miłości, analizowanie jej bezusłanne nie oznacza jeszcze prawdziwie głębokiego uczucia.

Poza tym mało ciekawa refleksja, że mężczyzna, zapewniający o wiecznej miłości, kocha, 3, 6, najwyżej 9 miesięcy, natomiast kobieta, która z początku ma zamiar nawiązać romans na 3, 6, najwyżej na 9 miesięcy, po pewnym czasie czuje się nierozerwalnie sprzęgnięta na zawsze z kochanym mężczyzną. I to wszystko. A więc, jak na „sztukę z tezą" — to za mało. Rozwój akcji, oparty na tych koncepcjach, byłby niezawodnie zbyt monotonny i nieciekawy, ale autor wprowadził jeszcze jedną parę, bardzo udatnie naszkicowaną, która reprezentuje w utworze dynamikę, humor, tempo.

Osterwa zbyt poważnie potraktował tę sztukę. Jego „opracowanie sceniczne" ma widocznie oznaczać, iż nie tyle reżyserował, ale również zaadoptował tekst. Płonne wysiłki. Rolę amanta niepotrzebnie podciągnął do poziomu bohaterskich kreacji, choć ten amant to figura dosyć mizerna i szablonowo sklecona przez autora. Gorczyńska zaledwie poprawna, Wesołowski i Żeliska dowcipną grą starali się ratować całość.

S. Rum.

Kino „ATLANTIC": „Wielka miłość Beethowena".

Film Abla Gance'a jest o wiele staranniej skomponowany od wszystkich dotychczasowych filmów, osnutych na tle życia wybitnych muzyków. Muzyczne walory wydobył Gance z umiarem i dużą kulturą. H. Bauer dał kreację bardzo poważną i nieprzeciętną, chociaż może nieco nużył monotonią swej maski. Inna rzecz, że może to i wina autora scenariusza, który zbyt jednostronnie potraktował życiorys Beethovena i dlatego romantyczny czynnik zaciążył nad całością filmu, który rozgrywa się na tle kilkudziesięciu lat życia wielkiego muzyka. H. Baur jako Beethoven był przede wszystkim nie wielkim muzykiem, lecz nieszczęśliwym amantem, który swą miłość wyrażał w muzyce. To uproszczenie zagadnienia raziło sztucznością sytuacji. Warto zwrócić uwagę na nowy efekt filmowy, polegający na tym, że głuchotę Beethovena dźwiękowo uwypukla cisza, tak, iż widz nietylko domyśla się, ale i współprzeżywa tragedię muzyka. Obsada filmu poza Bauerem słaba.

S. R.

REPERTUAR TEATRÓW WARSZAWSKICH

Polski: „Wesele Figara" Beaumaschais.
Nowy: „3... 6... 9..." Durana;
Narodowy: „Fiesko" Schillera.
Letni: „Żołnierz królowej Madogaskaru" Dubnickiego.
Mały: „Lato w Nahant" Iwaszkiewicza.
Ateneum: „Ludzie na krze" Wernera.
Malickiej: „Zamieszaj" Hertza.
Kameralny: „Tajemnica lekarska" Fodora
Nowości: „Na warszawskim jarmarku".
Scala: „Kobieta dla wszystkich".
Młoda Scena: Jidysze Bande (rewia).

Prenumerata: miesięczna 1 zł. 20 gr., kwartalna 3 zł. 50 gr., za granicą kwartalna 5 zł.
Ceny ogłoszeń: za m/m za tekstem 80 gr., w tekście 1 zł. Strona zawiera 5 szpalt. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

Redaktor: Dr. M. KLEINBAUM. Wydawca: TOW. WYD. „STER" sp. z o. o. Redaktor odpowiedzialny: A. KLARMAN.

Druk. B-ci Wójcikiewicz, Warszawa